

*ROMAN
EMINOWICZ*

∞

BASILEUS

BASILEUS.



ROMAN RADOGOST DOŁĘGA
EMINOWICZ

(pseud. lit. : JAN FERSTEN).

BASILEUS

Z ŻYCIORYSEM AUTORA, NAPISANYM PRZEZ PROF. UNIW. JAG.
IGNACEGO CHRZANOWSKIEGO.



**Kolekcja
Emila Kornasła**

GEBETHNER I WOLFF

WARSZAWA — KRAKÓW — LUBLIN — ŁÓDŹ — POZNAŃ — WILNO — ZAKOPANE

1922.



CN 316719

DRUKARNIA ZWIĄZKOWA W KRAKOWIE.
POD ZARZĄDEM J. DZIUBANOWSKIEGO.

Wpisano do Księgi Akcesji

Akc. DI nr 20 / 2021 CM

*Biada, kto daje Ojczyźnie pół duszy,
A drugie tu pół dla szczęścia zachowa.*

Dnia 10 listopada roku 1920, w szpitalu garnizonowym w Zamościu, umarł, opatrzony Świętymi Sakramentami w dwudziestej pierwszej wiosnie życia, Roman Eminowicz.

„Kule mnie się nie czepiają, choć roboty mam bez ustanku nadmiar“, pisał do przyjaciela 23 sierpnia: wkrótce potem, 10 października, w bitwie pod Nowogrodem Wołyńskim, kula bolszewicka przeszła mu kręgosłup i płuca... Rany były śmiertelne, — nie ocalała go ani młodość, ani ochota do życia, ani opieka lekarska, ani modlitwy Rodziców... Serce się kraje, czytając jego wyznanie w liście, piśnianym na miesiąc przed tą bitwą: „Prawdę rzekąc, nie chciałbym wcale umierać — warto zobaczyć jeszcze zawartość i wartość dalszych moich lat — a także lękam się kalectwa. Czasem wydaje mi się, że, gdyby nagle ustało życie to — a zaczęło się jakieś inne — to może stanąłbym na jakimś niższym stopniu ewolucji, niż dziś — i może gdzieś tam czułbym się obco — tak, jak gdyby mnie np. zrobiono Robinzonem i gdybym musiał samodzielnie — fizycznie — wyrębywać sobie każdy krok i możliwość życia. Lękam się tej fizycznej zależności. Chodzi przecie o wyzwalenie ducha“.

„Wyzwalanie ducha“: oto, w krótkich słowach „zawartość i wartość“ życia Eminowicza, od lat niemal dziecięcych aż do śmierci.

Z natury obdarzony wielkimi zdolnościami umysłowymi, zarówno ogromną ciekawością intelektualną, jak nadzwyczajną wrażliwością estetyczną, a do tego czując w sobie iskrę Bożą — rwąc się do muzyki i poezji, — już jako uczeń gimnazjum imienia Sobieskiego w Krakowie, pielęgnował i rozwijał te wszystkie dary przyrodzone, już wtedy ze świętym zapalem młodzieńczym pracował nad „wyzwalaniem du-

cha". Nie było zaś w tej pracy nic samolubnego: nie poprzestawał ani na ciągłym kształceniu się, ani na twórczości poetyckiej, tego wszystkiego było mało jego dobremu, kochającemu sercu: pragnął, aby jego własny wyzwalający się duch promieniował na innych, na kolegów szkolnych, więc stał się organizatorem ich życia umysłowego i artystycznego: urządzenie odczytów i wieczorów dramatycznych należało do jego ulubionych zajęć; działalność jego na tem polu była, jak pisze jeden z jego kolegów, „ciągłą i nieustającą podnietą dla innych“, była „wzorem nie liczącej się z trudami i czasem ofiarności dla wspólnego idealnego celu“. Temu celowi idealnemu miał, pomiędzy innymi, służyć miesięcznik „Młódzież“, o którego wydawaniu marzył, którego program obmyślił, do którego dużo materiałów zgromadził.

Lecz marzenie się nie spełniło: w listopadzie roku 1917, będąc podówczas uczniem klasy ósmej, rozpoczął Eminowicz służbę wojskową — w legjonach, jako kawalerzysta II. pułku ułanów. Podzielił z nim znane powszechnie losy. Kilka miesięcy przebył w obozie internowanych na Węgrzech, póki go wraz z innymi jeńcami nie wywieziono do Udine. W końcu czerwca r. 1918 powrócił do Krakowa, a na jesieni zapisał się na wydział filozoficzny Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Lecz wykłady trwały kilka dni za ledwie: młodzież uniwersytecka, co szlachetniejsza, pospieszyła na odsiecz Lwowa, — w jej szeregach był, oczywiście, i Eminowicz. Należał do pierwszej połowej kompanji bataljonu akademickiego, którą w grudniu przydzielono, jako oddział szturmowy, do pociągu pancernego „Śmiały“.

W kwietniu roku 1919 przeniesiono go z frontu ukraińskiego na litewsko-białoruski.

Zapadłszy ciężko na zdrowiu, spędził lato w sanatorjum wojskowem w Zakopanem, na jesieni zaś powrócił do Uniwersytetu. Całą duszą oddał się nauce, pracy literackiej oraz działalności w Akademickiem Kole Artystyczno-literackiem, którego był sekretarzem. Nosił się z myślą założenia miesięcznika „Symposjon“, który miał być wyrazem nowych kierunków artystycznych w poezji; a tymczasem organizował wieczory „żywego miesięcznika Symposjonu“, na których sam wygłaszał słowa wstępne, wyjaśniające istotę nowych prądów. W druku miał się miesięcznik ukazywać od jesieni.

Stało się inaczej.

Nawała bolszewicka runęła na Polskę, i znowu zerwała się do boju młodzież akademicka: w lipcu roku 1920 na pamiętnym wiecu w sali Kopernika uchwaliła, jak jeden mąż, zaciągnięcie się do szeregów.

Dnia tego widziałem Eminowicza po raz ostatni; mówił, że się czuje bardzo osłabionym i zmęczonym, że tak bardzoby pragnął poświęcić się swojej ukochanej nauce i twórczości poetyckiej. Ale nie wahał się ani jednej chwili, ani na jedną chwilę nie sprzeniewierzył się hasłu swego ukochanego poety: „Biada, kto daje Ojczyźnie pół duszy“. Proponowano mu miejsce w kancelarji wojskowej, namawiano go, żeby wstąpił do szkoły oficerskiej: odrzucił jedno i drugie i, pomimo zrujnowanego zdrowia, zgłosił się, jako ochotnik-akademik, do oddziałów bojowych w Rembertowie, a stamtąd poszedł na front południowy... i już nie wrócił... Praca nad „wyzwalaniem ducha“ była skończona...

Dekretem pośmiertnym zamianowało Dowództwo Naczelne „plutonowego ś. p. Romana Eminowicza za nadzwyczajne zasługi, położone w obronie Ojczyzny, a okupione śmiercią, wskutek ran odniesionych na froncie, podporucznikiem 43 pułku strzelców kresowych“. *)

Wziął z sobą wielką nadzieję, pozostawił po sobie — w sercach tych co Go kochali i znali — wielki ból...

Ign. Chrzanowski.

*) Uwaga wydawcy:

Nominację tę wyprzedził szereg odznaczeń, przyznanych Mu za udział we walkach w obronie Lwowa, o Wilno i na kresach wschodnich, jakoto: Order „Virtuti Militari“ za uratowanie stacji kolejowej i pociągu pancernego pod Sądową Wisznią; „Krzyż walecznych“ za akcję wypadową w okolicy Zwiąhła, podczas której przy zajęciu wsi Niemielanki został ciężko ranny; ponadto honorowe odznaki: „Orlęta“, „Gwiazda Przemyśla“ i „Krzyż za Wilno“.

CZĘŚĆ I.

UTWORY POETYCKIE.

LOS MNIE ŻENIE.

Los mnie żenie na niedole
 Ku udręce mus mnie iść,
 Innym wiosna żyźni pole,
 U mnie osty i kąkole,
 Jesień u mnie, zeschły liść.

Znikło Szczęście, Ukojenie —
 Zaschnąć musi tęskna łza,
 Los mnie ku przepaściom żenie
 Po gwiazd światach mi błędzenie
 Duch mnie hen w bezkresy gna.

Los mnie żenie na niedolę
 Chętny idę w smutków noc.
 Droga w górę Ci przez bole.
 Otom pojął Bożą Wolę:
 Stos ofiarny — Ducha Moc!

1918 listopad.

NA ŻYCIA TONI...

Na życia toni zbłąkana wieczyście
Dusza ma smutków swych fale przelewa —
Słońce zapadło już, żar nie zagrzewa,
Światło nie pada poprzez drzew okiście.

I tylko wicher jej rozsmętniony śpiewa
I pieśni złote gra w jesiennym świście,
W dal nieprzejrzaną niesie spadłe liście.
Jękiem i dreszczem trwogi wstrząsa drzewa.

O gdyby wichrem być, co w bezkres goni
I wieczne pieśni grać na arfie świata
I grzmieć tententem nóg tysiąca koni,

I w ludzi wpaść, jak orkan w drzewa włata,
Na strunach dusz rapsody zagrać wieszczę
I budzić czucia żar i trwogi dreszcze! —

DUMANIA PANCERNE.

Mrok wieczorny nadchodzi, wpełza Cisza blada
 I wokoło mnie mary rozstawia półsennie.
 Zmora smutku na duszy kamieniem osiada,
 Tęsknota — wichrów halnych gra treny jesienne,
 Po ziemi mgieł niekształtne tumany się kładą
 Noc już — Lęk i Zaduma biorą duszę bladą.

I nie istnieje żadna na ziemi tęsknica,
 Którejby mroczna postać nie przeszła koło mnie
 Wszystkie chylą się ku mnie, odsłaniając lica,
 Otulą w skrzydła duszę, cierpiącą ogromnie
 I szepcą baśń do ucha, o takiej krainie
 Gdzie miłość jest i wiosna, gdzie Szczęście nie ginie.

Tam, kędyś są piętrzące się w chmury turniska
 I między niemi hale, wiosny tchnące wonią
 A z pod granitów potok kryształowy tryska —
 A na halach trzód dzwonki pasących się dzwonią —
 Stary las górskim wiatrem poszumi leniwie
 Chyli szczyty i na mchy strząsa sosn igliwie.

Tam, kędyś słońce czysty swój rąbek odsłania
 I nad strzępione skały barw roztacza tęczę

— — — — —
 Tam kędyś ma przyjść do mnie Godzina kochania

— — — — —
 Upadam na kolana i w natchnieniu klęczę
 I czekam, zali z marzeń blasku się wyłoni
 Jasna? — — — — —

— — — — —
 Zimno i ciemno; dreszcz mnie zwątpienia przenika
 A tęsknota dłoń w niebo wznosi nadaremno —
 Zgasły tęczę, już niemasz żadnego promyka
 Szczęście pierzchło — Ot dola! — Zimno mi i ciemno.
 Po polach wicher poszumnym płacze w dali głosem —
 Wieczny tułacz... On także zali się nad losem.

Wyszedłem w ciężką drogę i trudy niezmierne
 Czyż s a m iść w górę muszę? Czy idzie kto ze mną?
 Czy znajdę gdzie na świecie serce co mnie wierne
 Czyli nadzieja szczęścia nie będzie daremną?
 Hej! tam gdzieś moja Jasna twarzyczkę zasmuci
 I spyta może w duszy: wróci, czy nie wróci?

Zmora ciężka kamieniem na piersi osiada
 Ku ziemi gną mnie jakieś wstrętne, straszne ręce,
 Czegoż słucham jak upiór do ucha mi gada:
 Pokłoń się! na proroka światów cię wyświęcę! ?
 Potem zaś z duszy czarną oddziera kotarę
 I ukazuje próchno, zgniłe, trupio szare. —

Więc bezsłoneczność wieczna jest moim udziałem
 Gdyż żaru słońca w duszy rozpalić nie zdolę,
 Więc to, co wytęskniłem, to, co ukochałem,
 To, ku czemu wyszedłem w tułaczą niedolę —
 Jest, jako na pustyni złudny obraz w dali —
 Zniknie — i większym jeszcze bólem pali.

Więc czemuż Boże światła mi dałeś poznanie
 A razem Ducha pchnąłeś w nędzę wiekiustą?
 Ach! czemuż przed tym marnym duchem straszny Panie
 Rozpaliłeś wśród szczytów gwiazdę promienistą,
 Że obłąkany blaskiem nad przepaście pnie się
 Niepomny co mu ból i co smutek niesie.

Zabrałeś mi spokojność i szczęście na ziemi
 I w ducha mego tchnąłeś niespełnione żądze
 Ach nie bierz mi jednego wyrokami Twemi:
 — Bym idąc w górę we krwi, wiedział że nie błędę,
 — Że prawdziwe tam Światła i Prawdy mieszkanie
 Padnę w nędzy, lecz chociaż niech wiem to, o Panie!

OWINAŁ MNIE.

Owinał mnie jak mglisty szal
 Wieczorny smęt tęsknoty,
 I patrzę cichy w siną dal
 Kędy wśród błysków srebrnych fal
 Zagasa słońca promień złoty.

Nie wróci na m promienny czas
 I wiosny i kochania,
 Nie zazieleni liści las,
 Nie wznecim żaru co tlił w nas,
 Wiatr zimny iskry porozgania.

Dla wiosny naszej nastał kres —
 Ból starga pierś ogromnie.
 Przekwitły róże, uwiadł bez —
 Mnie droga inna... Parę łez
 I bólu jęk. Pamiętaj o mnie!

Kwiecień 1919.

WRÓĆ...

Wróć do mnie! Twego jasnego oblicza
Tak żądny jestem, jak słońca na niebie —
Żaru spragnionym co bije od Ciebie
I moim żarom płomienia użycza.

Na ekran duszy weszłaś tajemnicza
Siejąc kochania kwiat na mojej glebie,
Żadną go mocą z głębi nie wytrzebiej,
Sam zburzę mur, co czucia rozgranicza.

Wróć! — Czyż doprawdy myśmy rozminięci
Wprzód nim nas losy zbliżyły ku sobie?
Czyż wiecznie błądzić będziemy, jak przekłęci
Ty z myślą o mnie, ja z myślą o Tobie?
O powróć! w mojej nie zamrzesz pamięci
Choć z tęsknot mych — moglię życiu zrobić. —

Kwiecień 1919.

ACH SKRZYDŁA PODNIEŚĆ...

Ach! skrzydła podnieść niezwiązane, wolne,
 I orłem jasnym polecieć w błękity,
 Sercem, co zwątpić i zgiąć się nie zdolne
 Nad skał wybieżeć granitowe szczyty
 I okiem chłonać wszelką jasność dniową
 I stwierdzać ducha głębię kolorową.

Przyziemne płazy roztrącić i minąć
 I dotrzeć tam, gdzie droga wytęskniona
 I co człowiecze w swej duszy rozwinąć
 I co człowiecze przycisnąć do łona;
 I gwiazdę z ducha wypromienić złotą
 Co blask swój wieczną podsyca tęsknotą.

Ach! biedny tłum w bagnisku pogrążony,
 Niezna co wichry, co burze i wzloty;
 Duch co się wznosi — cierpi za miliony,
 Człowiek — tragicznym jest, tłum — ma „kłopoty“
 — Moim jest losem nie do ukończenia
 Gnać huraganem w bezkresne błędzenia.

Ale tu w dołach jest niebo bez burzy,
 I nie zasiane słońcami złotemi,
 Tu panem żabi tłum w błotnej kałuży,
 Tu opar ciemnych nor — zgniata ku ziemi,
 — Kiedy się takim otoczę obrazem
 Zda mi się, że nie orłem jestem, jeno płazem.

Kraków. Po powrocie z gór 9. X. 1919.

HALNY WICHER.

Błogosławioną bądź godzina,
Gdy w wiry wpadam zawieruchy.
O wichrze przyjdź! na twe podmuchy
Dusza ma skrzydła swe rozpina.

O wichrze przyjdź! żar ochłódź słońca
Rozszalej kłęby groźnych chmur,
Sercem zaśpiewam ci na wtór
Pieśń bez początku i bez końca.

Co słabe w duchu chcę zadławić,
By wichrem wzlecieć ponad szczyty
Chcę runąć z Tobą na granity,
By o granity pierś zakrwawić.

Czuj duch! Polecę huraganem,
Bom n a t o posiadał wszystkie moce
I skrzydłem jasnym, niezłamanem
Na przekór słońcu zamigocę.

O wichrze przyjdź! weź bez litości,
Niech ziszczę jawą moje śnienia,
Na ponadziemne nieś mnie włości
I wiecznie leć i — bez wytchnienia.

21. X. 1919.

ŻÓŁTE, JESIENNE...

Żółte, jesienne śnieg zasypał liście,
 We mgle szarzeją bladych drzew kontury;
 A głębiej? — Za mgłą?... Głębiej... oczywiście
 Nic... tylko pustka i ziąb, mgła i chmury,
 Słane daremnie myśli trwożnej pošły
 Wracają smutne: lęk i... śnieg przyniosły.

Żółte, jesienne śnieg zasypał liście...
 Gasną powoli ostatki tęsknoty
 I lęków nowych obłądne zawroty
 Przynosi wiatr i w głuchym gna poświście
 — I coraz boleść zdali przygna świeżą
 I odgrzebuje te, co ciche leżą.

Wichrami mkną niepowstrzymane żądze
 By zmienić w czyn tę siłę, co śpi we mnie.
 Jakież to jeszcze zaparte wrzeczadze?
 O które piersi rozkrwawiam daremnie,
 Przy których szepcę z pobladłym obliczem:
 „Nie zdolę Mocą być — niech będę Niczem“.

Jest kędyś kwiat w tajemnym, czarnym borze,
 Którego pąk rozkwita pozłociście.
 A człowiek błądzi po puszczy wieczyście
 I z trwogą szuka — i trafić nie może;
 Czyż żadne drogi nie rozświecą zorze!?
 Żółte, jesienne śnieg zasypał liście.

Kraków 30. X. 1919.

ODMĘTNA, CZARNA TOŃ...

Odmętna, czarna toń, w koło miliony
Zjawisk potwornych duszę wstrząsa dreszczem —
— Przebieżą dzikie, złe — a lęk szalony
Zapiera dech pod tchnieniem ich złowieszczem.

I dziwna rzecz: zielonookie Harpie
To błysną zórz dogasających czarem,
To pozłocistym, tajemnym puharem
To wilka kłębem, co w noc padlinę szarpie.

Lecz lecę w głąb — pierzchają strzyg widziadła
I widzę pól bezkreśnych błękit blady,
W przepaście gnam za gwiazdą co upadła
I może pryśnie w pył i zgubię ślady.

Za gwiazdą, czy to za deszczem motyli
Daremnie gnam, daremnie sięgam po nie,
Bezsilność wraz realny kształt uchyli
I w próżni ciemnej trwożne błędzą dłonie. —

21. XI. 1919.

CZY LIM JA BARD...

Czy lim ja bard z wbitemi w dal oczyma,
 Co sły szy święty hymn w cudów godzinie
 I złotostrunną harfę w ręku trzyma —
 Lecz nigdy pieśń z pod palców nie wypły nie ?

Czy lim ów człek ze sercem skołatanem,
 Co nic z swych dóbr wydobyć już nie zdola,
 I tylko czasem zapłacze przed Panem
 I zlitowania wielkim głosem woła ?

.. Czy lim też duch, co zwolna pęta moce
 I błą dzi w mgłę za złotem marzeń runem,
 Lecz kiedyś blaskiem Siły zamigoce
 ... I w nieskończoność wystrzeli piorunem. —

21. XI. 1919.



ECHO.

...Przyleciał jasny na uskrzydłonych stopach — bóg Hermes.
Zatoczył wielki krąg, dalekim opadł łukiem
Jak jastrząb padł na duszę i... zniknął.
Zgubił się w niej jak ptak w trzcinie.

...I roje całe zerwały się ptaków... i każdy błyskawicą
[wlatywał w moje progi i znikał —

— Coś walczy w piersi mojej, coś w niej huczy —

Coś wre w głębinach jak burza daleka!

O! rozpierające siły!

Kto was urodził?

Nie mojeście wy!... — Dopiero w tej chwili ptakiem

[wleciałyście w moje piersi...

— Kołują wichry... i blaski migotają odległe...

— Jak gdyby w głębokościach olbrzymiego potwornego leja,

[o gładkich pierścieniowatych ścianach ognik błyszczący...

I taki niesamowity szum dochodzi stamtąd...

Od gwiazd do środka mego mózgu sięga i wwierca się

[potężny ten lej i widzę całą jego bezmierność...

Co za echa dziwne tłuką się po jego ścianach?

Hej, hej! — Pokłony bije las...

Hej, hej! — O lesie — Ciszę siej!

Hej, hej! — O lesie — Zgon mi wróż!

Hej, hej! — Pali się bór od zórz!

Wieczorny czas!...

Hej! Hej!...

O moment spokoju modliłem się i nie dano mi go!... za-

[milkłóż wszystko z nim!... — O! te tłukące się

[o ściany echa!! —

Dłoni mi takich potrza — by schwycić je jak jaskółki...

[czuć je w ręku... Może zdołałbym ucieleśnić, osiąść

[na wieki.

O! marzenie, marzenie!...
 Powietrzne echo siecią omotać i wyjąć żywe!
 A piękne — jak echa! —
 Poza mną — Echo na gwiazdach jest...
 — Całą błękitnością nieskończenia oddzielone...
 I noc ciemna jak bór nas dzieli!
 (I chaty cichej z powietrza duchy nie pobudują!)
 — O kącie swoim zacisznym marzą...
 — Uciec od bojów i od tego co nakazuje na skały wstępować!
 Człowiek jestem ubogi —
 Ciszy pragnę... daj mi, o ciemna otchłani żywe echo!...

Taką mi cichą daj dziewczynę
 Taką miłosną daj —
 Niech sam w daleki kraj nie płynę
 W pustynny, obcy kraj...

Chcę mieć Cię srebrną jak zaranie...
 Taką promienną mieć...
 O patrz mi w oczy, patrz kochanie!
 Na szyi rączki spleć!

Niechaj nie zamrze w nocnej ciszy
 Twój jasny dziecka śmiech! —
 Wszędzie Cię dusza moja słyszy
 W kaskadzie długich ech — — —

Daj mi otchłani echo zakłęte... niech wiem, że moje!
 Tej jednej spokojności pożądam — i mając ją jak skarb na
 [sercu — rzucę się w każdą głębię — — I wiecznie
 [będę iść! —

Jednej jedynej perły!...
 Puharu pragnę na drogę...
 I ty mi go daj — Nieskończoności!

...Zapłonie w piersi zar...
 Hej! niepotrzebny miech!
 Żagiew ja cisnę w bór —
 Żagiew ja cisnąć muszę. —
 Tysiące wstanie ech...

Człowieczy zapali się stos!
Walka ze sobą o duszę.
Huragan iskry poniesie...
Polecę, polecę w dal...
Pożarny jęk — mój los!
Zaszumisz po mnie o lesie!...
Płomię rozpalić muszę,
Choć zwęgli stopy i dłonie. —
Wylecę, wylecę nad stos —
Zostaną echa śpiewne,
Z chmurami popłynę w noc.

Otchłani! — — —

Echo mi daj! — — —

W Krakowie 17. XII. 1919.

OKTAWY.

I.

Dziwnie bolesna dławi mnie tęsknota...
 Taki sam jestem... W koło zimne ściany.
 Ptaków rój smutnych o dzwirze łopota
 Wewnętrzny lotów nakazem targany.
 — Marzę o włosach, jej włosach ze złota...
 Sen jakiś... Smętność... Obraz przypomniany...
 I tak szalona bólów zawierucha...
 I znowu cichość... i myśl myśli słucha.

II.

Długim poszumem płynie pieśń mej duszy
 Drgnienia jej — rytmem pulsują oktawy.
 Ach! mówić, śpiewać smęt, co łzami pruszy!
 I iść w dal, kędy słońca zachód krwawy!
 Może chmurami lutni jęk poruszy
 I zginie w świstach wichrowej kurzawy.
 — Silnym jest! Czemuż smutek serce truje?
 — Wylatam oto wzwyż, trwogi nie czuję!

III.

Przeczuwam lotów górnych tajemnicę
 I głębin dech, upojny, przedbytowy.
 O rozkosz! Cud! Wnet ducha moc rozniecę,
 O iglic szczyt — dłoń wesprę granitowy,
 Pogonię het, gdzie tańczą błyskawice —
 — Przekleństwo!... łąza... bolesny zawrót głowy...
 Zgrzytliwy serca ton... Wróc!... gorzkość dławi...
 O znowu gnaj, — o smęt, o lot żurawi!

IV.

Jakieś okropne spływa rozjaśnienie
 I wszystko powiem, wyboleśnię do dna,
 — Bo tam, gdzie Życia podąża zachcenie
 Gdzie miłość czeka mnie, jasna, pogodna,
 Przeobce drogę kazi rozsądzenie
 I czyjaś ręka, zbrodnicza, niegodna
 Zatlumia światło i zabija krwawo
 Moje do szczęścia najsilniejsze prawo!

V.

I bywał czas, że niewolniczo korny,
 Kłamałem sobie jakieś wyższe moce,
 I własny fałsz opętał mnie upiorny,
 Żem światło widzieć chciał, gdzie były noce,
 Lecz dzisiaj mój duch stawiał się oporny,
 I wołam w świat: Polegnę lub zdruzgocę!
 I stawiam krok we mgły, bo chcę i muszę
 Słuchajcie: własną odzyskałem duszę!

VI.

W pól sinoszarej, kołyszącej ciszy
 Samotny słysz! Natężaj baczność ucha?
 I światy w jednej piersi skup, co dyszy,
 I czasem lawą wulkanu wybucha,
 — Tam jedną tylko pieśń człowiek usłyszy:
 Hymn do wolności, gnębionego ducha!
 I jedno wielkie Ja! Bez graniczenia!
 Głęboki pełny dech! Sił naprężenia!

VII.

Lecz czemuż obco dla mnie tu, gdzie życie
 I każdy kwiat z pod dłoni mi umyka?
 — Czemuż, o ludzie, na mnie tak patrzycie,
 Jak na okładkę księgi czarownika?
 — I czemu w każdym zbrylanconym świecie
 Widzę łzy? Słyszę płacz w śpiewie słowika?
 — I żadne blaski nie płyną kojące,
 Rozumieszże Ty mnie, o Słońce, Słońce!

VIII.

I ciągle znika coś, i coś się łamie
 I z mocą wstaje znów — i znów zapada,
 I ciągle marom — rzeczywistość kłamie,
 I patrzy w bezkres twarz bolesna, blada,
 — Ale się w ciszy zwolna tęży ramię
 I piorunowych broni tajność składa. —
 — Cyt! Cyt!... Słyszycie?... Tętno krwi człowieka!
 — Tęży się ramię, czuje moc — i czeka! —

ZAGADKI ARLEKINA.

I.

Strzępione, orle skały...
 Błysk... grom... przeciągły grzmot...
 Toporu cios zuchwały...
 Miecz... rumak... trąba chwały!...
 Hussarja!...

Cóż to?

Lot!

II.

Dławiące serca bicie...
 Popiołów blade stos...
 Coś znika... — Deszcz o świcie...
 Trzask trumny... jęk... słyszycie!?!
 Zgadujcie!

Cóż to?

Los.

III.

Główka schylona skromnie...
 Drżenie... tajemny żar...
 „Daj dłoń“... „Kocham ogromnie“...
 Usta... włosy... „Myśl o mnie!“...
 Sen... Tęcza...

Cóż to?

Czar.

IV.

Całus niedoczekany...
 Cyprys, wichurą zgięt...
 Cztery samotne ściany...
 Cień idzie w mrok różany...
 Coś gra! Cyt!...

Cóż to?

Smęt.

V.

Taniec... patrzysz jej w oczy
 Obcość... Odleciał ptak...
 Wzrok wkoło błędny się toczy...
 Ludzie... tłum... przepaść w omroczy!
 Gdzie zstąpić? Noc...

Cóż to?

Brak.

VI.

Wrzask, gawiedź, fałszywe maski...
 Szydercza kaskada ech...
 „Parradne!“... „fi donc“... oklaski...
 Dusza na wywrót... szkieł blaski...
 Skrzywienie ust... walc...

Cóż to?

Śmiech.

6. II. 1920.

MROKI

I.

Wygnałem dla Cię z duszy wszystko co nie moje...
 Świateł tysiące oczekiwało Twojego przybycia...
 Wprzód nim stopy Twoje dotknęły marmurowych, gorączką
 drżących schodów, wprzód nim oczy Twoje otuliły
 miękko miłośność kłaniających się kolumn — ja oczu
 Twoich bystrość wypotężniałem ze siebie, by nic obcem
 Tobie nie było w tym moim pałacu, gdzie panem
 przestałem być...

II.

Każda nić wiąże się przez Ciebie i dla Ciebie...
 Patrzę w przeszłość i myślę, że kiedyś kądziel się wysnuje...
 Dławienie dziwne na piersiach moich siada i każdy nerw
 drży jak skrzydła jaskółki...
 Taka okropna, sino-mglista bezdenność... Droga ślepcy,
 któremu towarzyszami wichry, ponure, łkające...

III.

Patrzałem długo w oczy Twoje, bo siebie widziałem w nich,
 głęboko, głęboko... Jaka to rozkosz wtulonym się
 czuć w ciemne rzęsy i zapadać z wolna w przejasną,
 miłośnie patrzącą otchłań... Ach jaki ja Twój byłem
 wówczas! Rozkosz zatopienia, rozkosz pewności...
 rozkosz nadziei! Wytęsknianie najtajniejszych przyszłych
 drgnięć... Potop jasnych włosów...

IV.

Patrzę nieustannie w oczy Twoje chociaż daleko jesteś...
I nie potrafię już w nic innego spoglądać, bo One jedynym
blaskiem w mrokach... Moim mocom i wzrokowi memu
nakazuję, by światło Twe potężniało w blaski. Nie mogę
nie nakazywać — bo Ty jesteś!

Muszę kochać Ciebie... i chcę...

V.

Patrząc w Twe oczy pojąłem Prawdę... Droga życia mojego
to Ty!

Zbacząc zapadam w śmierć, osmętność głuchą... Gdybym
nie doszedł do Ciebie, błdziłbym w Nirwanie... Gdy-
bym przeszedł poza Ciebie?... teraz?... Nie! już
teraz nie ja.

Gdybyś zaś Ty opuściła mnie... pozostałbym ślepy i pa-
mięcią przytłoczony —

Gdybyś zamknęła oczy swe dla mnie — światła innego
daremniebym chciał szukać!...

VI.

Przecucie straszego bezwładu okręca skamienieniem nogi
moje...

O Jasna! przejasna! Oto myśli moich tysiące, patrz: cze-
piają się trwożnie sukien Twoich, obłędnie załamują
ręce i wznoszą do niebios szarych, rozpaczliwe, woła-
jąc: wysłuchaj nas! —

Wysłuchaj! Ty, który władze masz nad sercem jej i widzisz
i kierujesz myśli szlakami...

Wysłuchaj! bo oto nakazem tym krzyczą nabrzmiąle bólem
tłumy moich zbuntowanych pragnień, dla których życie
ich — to ich prawo!

VII.

Moce moje naprężyły się, by narzucić Tobie wejrzenie w du-
szą wołającą... Bo spojrzawszy — wysłuchać musisz!

Oparłem skrwawione pięści o globów półkule, głowę uno-
szę w przedśmiertnej dumie i ukazuję Ci oto w oczach
moich jarzący się krzyk: to Prawo moje!

VIII.

Ale jeżeli posypią się z łomotem w otchłań skruszone pionami skały...

Jeżeli roztargasz prawo moje bezlitosnymi dłońmi i naorkany ciśniesz strzępy serca...

Jeżeli...

IX.

Ona zbudziła moce życia mojego i przez Nią droga żywotności... Droga do Bóstwa!

X.

Błyskawicą taką rozświetlisz swoją nieboskość!!

O mroki, mroki nieskończone!...

25. II. 1920.

WIOSNA.

Taka dziś wiosna i słońce,
 Ni chmurka nieba nie plami.
 Tłumów się snują tysiące
 Rozbawionemi parami.

Jakiś natrętny młodzieniec
 Zamieszał się między ludzi,
 Każdemu słowo swe wtrąci,
 Chce śmiać się — lecz tylko nudzi.

Zmęczone oczy mu nęcą
 Sukienki, warkocze, wstążki;
 Dusiło go w izbie pustej,
 Gdzie tylko książki i książki.

W piersi mu bije coś żywo,
 Oczy się śmieją radośnie,
 Życia zapragnął, ach życia,
 Ku ludziom idzie, ku wiosnie.

W ciszy on szukał słońc innych,
 Tam, gdzie szukają poeci,
 Lecz „to prawdziwe“ dziś milsze,
 Inaczej grzeje i świeci.

Powiemy także na ucho:
 Nie słońca w niebie przeźroczem,
 On szukał tej, którą tęsknił,
 Paniunki z długim warkoczem.

Gdy snuł swe zjawy tęczowe,
 W samotne i długie noce,
 Czuł, że mu płacze coś w piersi
 Coś łamie się i szamoce.

I choć ulatał mocarnie,
 Nad ludzi, nad świat, nad wieki,
 Smutek mu duszę osnuwał
 Bo był, choć blisko — daleki.

I dzisiaj spotkał ją w słońcu,
 W rozgwarne, promienne rano,
 W gromadce ją spotkał młodych,
 Tak wiewną, tak roześmianą.

I śmiać się pragnął radośnie,
 I wmieszał się między ludzi,
 Jest blisko — lecz jakoś milczy,
 Chce bawić — lecz tylko nudzi.

Wszak tyle życia wre w piersi!
 Wszak tyle wesołych chęci!
 Przecz — raz się gromko rozśmieje,
 To zmiesza się — i znów smęci?

Chciałby się złączyć z wszystkimi,
 I chciałby magnetyzować,
 By kochał i był kochany,
 By rzekli ufnie mu: prowadź!...

Zgromadził tyle sił ducha,
 A tu go sądzą inaczej;
 Gdzieindziej sobie odchodzą
 I nikt na niego nie patrzy.

Lecz co go dręczy najmocniej
 I zmorą gniecie ku ziemi,
 Że Ona rąk mu nie poda,
 Że ona idzie za niemi.

Ból ostry wskrós go przeszywa,
 Osmętność duszę zamroczy,
 Jakaś go dola gna mściwa.
 Wiatr piaskiem sypie mu w oczy.

I rzucił gwarną gromadę
 I błądzi jasną aleją;
 A w sercu płaczą tęsknice.
 A w koło ludzie się śmieją.

„Tam twoja Jasna została“
 „Lecz niech cię żądza nie kusi“.
 „Oni wyśmieją się z ciebie“.
 „Tak los chce, tak snadź być musi“.

„Sam rozpleć tego zagadkę“
 „I pociesz serce co płacze“
 „Że są gromady na ziemi“
 „I są też duchy - tułacze!“

„A świat ten głupstwo i furda,“
 „Wróc do dom, mówię ci szczerze.“
 „Jest jeszcze stary romantyzm“
 „Niech żyją błędni rycerze!“

„Chciałbyś wielkiego kochania?“
 „Za szczęściem goni twa skarga?“
 „I darmo? — to właśnie dobrze“
 „Że boleść duszę ci targa.“

„Pójdiesz w dalekie gościńce“
 „Wichrową smagan tęsknicą“
 „I będziesz szukał gdzieś... kędyś“
 „Moczarnych ogni co świecą...“

„Tu — będziesz „Nic“ między ludźmi“
 „A „Nic“ mieć szczęścia nie może.“
 „Powróć do pustej izdebki“
 „Kiedy ci duszno na dworze“.

„To „pięknie“ to „romantycznie“
 „Ulatać w ducha rubieże.“
 „Idź na swą barwną włóczęgę!“
 „Są jeszcze błędni rycerze!!“

EXPOSÉE.

I.

Coś mi świętego moja dusza śpiewa,
 Nadlata jakiś orkanowy szum,
 Wiruje myśli szalonych ulewa,
 Sto lotów prężnych, sto tęsknic, sto dum — —

Nie pohamuje tej mojej silności
 Tysiącznych fałszów świętoszkowy kram.
 Zazdrozczę?... dumny jestem z mej zazdrości,
 Bo ja do mocy moje prawo znam.

Patrzę na dzisiaj i na przyszłe lata,
 I zakochałem się w srebrzystym śnie,
 Przeczułem Ducha w kręgu słońc wszechświata,
 I wiem dziś, że On — przynależy mnie.

W moich tęskności wiecznym nieukoju,
 W bolesnym krzyku: dalej, dalej idź!
 Poznałem surmę zwyciężkiego boju
 Nadzieję nowych, jasnych, moich Życ!

Przez to, że tu mnie każda małość wiąże
 A każda Moc podsycą ból i pęd,
 Ja śnię, by być jako udzielne książe
 Bo mam do wszystkich niewolników wstręt.

II.

A znacie wy, jak taka moc urasta?
 Czy przeczuwacie mą febryczność trwóg,
 Błądzenie w deszcz przez szarość ulic miasta
 Gdy wiem, że zemną nikt... nikt... nawet Bóg...

Senność gniotąca zmęczone powieki...
 Apatja, bezwład, nieruchome Nic...
 ...Obraz kochany jakiś, a daleki...
 Jakiś płacz, czyichś wytęsknianie lic.

Wydeptywane... ot... bezmyślnie błoto,
 Ziab, niepogoda, dreszcz... za krokiem krok...
 Jakaś tęsknota cicha — za tęsknotą...
 ...Wczoraj... dziś... jutro... co potem... za rok?

Przydusza parność rozżalonych łzawic
 I przedburzowe zamilknięcie fal. —
 — Czyż przeczuwacie wtedy wicher błyskawic
 I echem grzmotów potrącaną dal?!

Poznałem chwile, kiedy się z nędzarza
 Rodzi monarcha, ze słabości — moc,
 Myśl-karzeł się w Giganta przeobraża
 I targa w strzepy własny smęt i noc.

III.

Lecz wstydzę się mej koturnowej mowy;
 Jakieś szyderstwo brzmi z niektórych słów,
 I radbym zniszczyć Patos piorunowy,
 By Mową — Życiem do was gędzić znów.

Pochwytać wszystkie znikające cienie,
 Pod rękę z niemi iść, hen, w mnogość lat,
 A wam nakazać ciche zachwycenie,
 Gawędząc z prosta, ot... jak z bratem brat.

A kiedyś, gdy się tak otworzy dusza,
 Że przyjmie cały świat jak Boży dar,
 Wypragniam, bym myśl każdą, dźwięk co wzrusza
 Niósł wam wprost, jak pospólny, szczery gwar.

TŁUM.

Tłum, tłum, słyszycie nadciąganie tłumu?
 Tygrysi warkot szeptów przyczajonych,
 Rąk tysiąc wzrasta z dzikiego poszumu,
 Wir pjanych pysków i nosów czerwonych.

Rozkołysane głów zaszamotanie,
 Zapadłe ślepie wilka-robotnika,
 — Krwi! Chleba! Trupów! Niech się co chce staniel
 Łamanie kości — to nasza muzyka!

My szakal nocny, hyjena cuchnąca,
 Wyleźlim z nory po pańskie, psie padło,
 A dłoń jest nasza jak młot druzgocąca;
 Hej! głowy ludzkie pod młot, na kowadło!

Znacie wy ręce spękane kowala!?
 Węglarza znacie wiecznie zgięte krzyże!?
 Chamski błysk zębów już się w nas wyzwala,
 Jak śmierć my dla was, jak szakale chyże.

Wiem to, zem zawsze miał Dolę-krwawicę,
 Wiem to, że ręce mam kościste, czarne;
 — Gdy szarym, brudnym dniem łopatę chwyć
 To stawiam ludziom grób, lub dom — na marne!

Na marne! — bo to wypieszczonym dłoniom.
 Na marne! — bo mój łeb grad w polu smaga.
 — Hej mróz! — bękarty wasze w dom się schronią,
 Dziewka ma biegnie na żebry, półnaga!

Psiekrwie! — dlatego że mnie was nie wolno
 Piekielnym grzmotem kopnąć jak sobakę,
 A mam ochotę... straszliwą... swawolną...
 Przodków kopyto świecąc za odznakę.

Bo ja więziona Moc jestem. — Skąd prawo,
 Co zakazuje gryźć, gwałcić, mordować?
 Dziś ja chcę, rozumiecie, pięścią krwawą,
 Strzaskać łeb — tobie... jemu... roztratować.

Już zaciskają się żyłaste pięście.
 Ha ten „ktoś“ idzie... i łysą ma głowę —
 Z odruchem młota dziś pójdzie w zamęcie,
 I skrwawią bruk te strzępy... te — mózgowe!

Bo dla mnie żywot w bestjałskim Odruchu,
 Jestem toczącą się wściekle lawiną,
 Sto wilczych rodów wylęgło w mym Brzuchu,
 I ja, Wilk, wyję ludziom: niechaj zginą!

Rąk mych zduszeniem opasałem ziemię
 Hen, z dalekości mój powark się toczy,
 Z przyziemisk kłębem roztargam ludzkie plemię
 — To ja! patrzajcie, Wilk — krwawe mam oczy! —

26. III. 1920..

PRZED KURANTEM.

Uciekłem od wszystkiego
Od was barwności i ruchliwości,
Od was ulice
I od was uciekłem drobniutkości i karzełkowatości, spódnice,
[psy, słońca, tramwaje,
Jakimś nieznanym Musem stworzony zostałem tak —
I mam to tylko co we mnie wiruje,
Nie uczepię się nigdy waszych drgnień i waszych skrzydeł,
To jest otchłanność planetowa właśnie,
I to może moje przekleństwo,
Ja jestem inną planetą, nie mogę i nie chcę wkraczać na
[wasze koliska,
Moja droga, moja świadomość i moje panowanie mi mówi to...
Nie wstydzę się lęków i zgryzoty,
Patrzajcie! Oto moje sięgające po wszystko ręce...
A tyle, tyle światów — i tyle, tyle barw, których pochwyć
[nie zdolne
Jak ja zwijam się w sobie straszliwie, jak ja depczę siebie
[po każdym, przeokropnem niechwyceniu —
Biada, biada nędznemu!
Zesypują się na mnie duszące popioły...
Moja wina, że nie jestem wulkanem!
Krzyknijcie kłamstwo!
Bo kłamstwem jest wyolbrzymianie granitowych cyplów...
Pomierzcie odległość Himalajskich szczytów od słońca...
I nie patrzcie na mnie jak na człowieka, co na wycieczkę
[w góry swe liny gotuje...
Przecież nawet po lodowcach chodzić nie potrafię...
Ale rozumiecie wy, co to znaczy, obsuwając się w spękane,
[ślizkie żleby, nieść Słońce pod powiekami?!...

To znaczy: upadek i strzaskanie, i znów upadek i strzaskanie,
[i znów i znów... bez końca.

Jak ja tęsknię za rozbiciem co byłoby sekundą!

— Ale cicho... cicho... nie mówcie nikomu... pod po-
[wiekami tysiące błysków mam...

Od fioletu do brylantowości!

— Jestem taką Ciszą, którą poszumem w uszach zawsze
[słysząc --

Wiem, że początek i koniec taśmy poszumu tego do gwiazd
[przyczepiony...

— Czyhajcie na małość moją, bo czujnie ją ukrywam!

Pytajcie mnie o Symfonje!

Pytajcie mnie o rapsody rozdzwonione!

Nie o poszumy niedokrewnej ciszy!

Jeżeli rozumiecie, że Tęsknota jest wielką, to powiem wam,
[że tęsknię...

Tęsknię do Wszechsymfonji!

Ale przecież wolno mi zacząć od tykotania zegarka.

— Kuranty?

— Czekaćcie godziny dwunastej!...

— Moje słowa są prostem przyznaniem się...

Bo wierzajcie, wstyd mi...

— Patrzcie w moje zdania, a zobaczycie oczy moje...

Patrzajcie w oczy moje, a może kiedy dostrzeżecie
to, czego sam nie ujrzałem jeszcze w żadnym zwier-
ciedle...

A tęsknię...

— Niegodnym będzie, kto zobaczy, a nie powie mnie!

— Zdaleka, zdaleka krótkowidze!!

23. III. 1920.

ETUDA REWOLUCYJNA (Op. 10. 12).

O gęśle - wichry, lutniska, bardony!
Grozicie?!...

„Leć, giń, muzyką potępiony!“

„Czy słyszysz nasze roztrzaskane tony?“

„Huragan wodospadów, hen... w błękicie?....“

Niesie mnie, niesie fala spadająca,
Groźny, wichrowy szum, myśli zamąca,
Dalekość na mnie pędzi ciemniejąca.

Jeszcze głębiej, jeszcze dalej!

O Boże!

Zacóż mnie żeniesz tak, wygnańca

We wirowanie gwiazd w przestworze?

Tysiąc mnie obłądów pali,

Muzyka pijanego tańca •

Gorze pijanemu! zapada! gorze!

Jeszcze dalej, jeszcze dalej!

O rozkoszy muzycznej fali!!

Łykam chciwemi ustami,

Wdycham pełnemi piersiami,

Chwała Ci Władco nad tronami!

Tyranie, chwała!

Poicielu!... Boże!

Tak wypuściłeś na mnie tysiąc lutni
 Jak tabun wichrem rozszalałych koni,
 A każda lutnia tęcz orkanem dzwoni,
 I dźwięcząc, moc duszącą rozokrutni —
 Jakże kusząco i jak nielitośnie,
 Śpiewa precudną, złudną baśń o wiośnie,
 I każdy ton płaczący, znikający
 Niesie na fali woń dali kwitnącej.
 Jakieś róż rwanie i jakieś kochanie
 Ogromne, nieprzytomne całowanie,
 I woń mnie mroczy upojnych warkoczy,
 I w duszę chłonę stracone Jej oczy...

I znowu akordy - gromy.
 I konwulsyjnie uderzają ręce.
 Ach... dobrać ton, straszliwy, niewiadomy!
 Przeczuwam nadchodzący zwid,
 Jakąś moc, jakieś życie z klawiszy wyświęcę
 I z drewnianego pudła wstanie Mit!

Jakieś gonitwy dłoni i szukanie,
 Zprężonych palców motyle rozdrzanie
 Już rozbiegają się zwiewne... zmęczone...
 Śpiewne... zrezygnowane... roztęsknione...
 I gdzieś — w półtonach — przycicha dzwonięcie,
 I jakieś — w dzwonach pszczoł słycać brzęczenie,
 I w rozłzawionych dzwonach-szeptach znika
 Ta moja... ta władnąca... ta muzyka.
 ...Wiruje... drży... tętni...
 Podziemny szum... parność... czekanie...
 Rozjaśni ton... przysmętni...
 Przyciąga... poi... niepokoi...
 Falowanie... falowanie... falowanie...

Dość, dość! Tu zacznie się już moja pieśń,
 — Etuda miała być „rewolucyjna!!...“
 Lecz gdzież jest jakaś Królująca pleśń
 I jakaś na nią siła destrukcyjna?...

Ot! Dosłuchałem się w tętniącej grze,
 Wielu się tonów dosłuchałem z baśni
 I roztopiłem się w gędziebnej mgłę,
 Lecz nic na duszy nie było mi jaśniej.

Splątało tylko mnie jęczenie skarg,
 I owładnęła mą siłą muzyczność,
 Upiór tęsknoty przydusił mi kark
 I zasłuchałem się w strun patetyczność.

Daremnie chciałem wygarnąć z pod nut
 „Coś“, coby wyszło i stanęło żywe,
 Instrument wichrem dygotał, jak wprzód
 Jeny na Ducha szły chmury tęskliwe.

Snami kołysał rozmarzony tan
 Lecz zrozumiałem to straszliwe władztwo,
 Żem ja — niewolnik, a mój król i pan
 To dźwięk, to smęt, to barw i nut bogactwo.

I nie poradzi na to żaden schron,
 Zabójcza nuta w każdym gra nokturnie
 I goni za mną pieśczołliwy Ton,
 Narkotyzuje... rozkosznie, lub chmurnie.

Podsłuchiwałem siebie i dziś wiem,
 Że w Nim jest moje pragnienie najcichsze,
 W każdą miesięczną noc uwodzi snem,
 Szumi w tatrzańskim smerekowym wichrze.

Oddycha wiosną z rozoranych bruzd,
 Słowiczym trelem bałamuci ślicznie
 Dreszczem przepływa z ukochanych ust,
 Więzi... rozkosznie, władczo, lunatycznie.

Wewnętrzne siły zabija jak kat,
Swobody, wiry i loty po niebie
Możność obrony podstępnie mi skradł —
Bo sztyletując Jego — dźgałbym siebie.

Więc pobuntował się w ciszy mój duch,
Ztężając w moce pragnienia rozliczne.
Lecz niech mi powie kto, zali ten ruch
I bunty te nie są tragikomiczne?

To może jakoś pospolicie brzmi
Ale tragedia jęczy w mojem graniu,
Gdy każdy ton podnieca, wicherzy, drwi
I obłęd jest w bezsilnem tem szarpaniu.

Bo więzi mnie ów bezcielesny czar
I widzę niezblągane „albo — albo“,
— Czy z korowodem iść harfiarskich mar?
Czy strzelać w niebo piorunową palbą?

Jaki to straszny, jaki błędny los
Być tak miotanym falą bezpamiętną,
Lecz ja przeczuwam jakiś nowy głos
I w strunach nowe falujące tętno.

Jeno wymocnić tak szaloność Ducha,
Jeno wytęsknić, prometejski trud,
I gdy uderzać — to mocą obucha
A jeśli czekać, — to tylko na cud:

I już przeważa się napięcie sił
I w każdym palcu jest bohater żywy,
War i gorącość starga ściany żył
I potok krwi wraz tryśnie niecierpliwiej.

Więc na klawisze ciskam żądną dłoń,
By zbudzić orła, który czuwa we śnie,
Bo kiedy zaklęć hymn doleci doń
To stanę wyzwolony i moc wskreśnie.

Ból i tęsknota żyźnią dźwięków grunt,
Krwia jest zaprawna barwność melodyjna,
W dotknięciu palców drży zakłęty Bunt
...Moja Etuda... Rewolucyjna...

W Krakowie 30. III. 1920.

PIJANA PIEŚŃ.

Szaloność, szaloność, strach, wir

Kręcę pijanym ołówkiem,

Myśli me skaczą obłądnie,

Wiem, że piszę jak warjat,

Ach poco, ach poco szukam,

Jakiegoś zapomnienia pijaństwa.

Zataczam się, środkiem ulicy idąc, i tłukę głową o oba
[chodniki, o hej!

Pożadam czegoś straszliwego,

Niech się dzieje co chce!

Byle wiru, byle musowania, byle wrzenia, byle zawrotu,

O Boże, Boże jedyny!

Nie panuje myślom, wiem i o kochaniu i o talencie, i o dą-

[żeniach i o idjotyzmie i o bezwolnem pisaniu i o wódce

[co głowę mroczy, że staję się lunatykiem, co wyje na

[księżyc i kopie godności świata tego.

O świecie, świecie!

Nie wiem jak zgłębić cię, ale chcę...

Aha! Jesteś centryfugą, co zrzuca brudy na boki i wypluwa
[kał niepotrzebny.

Widzę, widzę to i gardzę cuchnącemi szczątkami.

To wszystko Tobie niepotrzebne,

Brud, fałsz, lizanie się, czułe rozmowy, pocziwości, naukowe
[kretynstwo, tkliwości familijne, plotkarskie całusy,

Tam w środku ziarno jest,

Wiem, znam,

Nieprawda! przeczuję...

Obłądmem mojem pisaniem jednak wyczuwam treść,

Nieskończoności!!!

To tak, jak aleją ciągnącą się iść — i końca nieostrzegać,
 [jeno zawód i krwawość i łzy i tęsknota,
 Dzikość szalejąca w mózgu i szął,
 Szął prawdziwy.
 Rozhukanie, chęć znajdywania...
 Zagarniam dłońmi półkolistymi i tulę do się...
 Te skarby wszystkie co srebrzą się w pośrodku,
 Jakaś olbrzymiość Ducha,
 Szukanie, Szukanie,
 Wielkie Szukanie,
 Czuję, że Duch mój to masa i mgławica jakaś niezbadana,
 I białości jakieś wypływają na ślizgą powierzchnię i błyszczą
 [błyszczą, fascynująco błyszczą!
 To jakieś odłamki prawd,
 To może szczątki zwierciadła,
 Zwierciadło, co widziało piekło i czyściec i niebo,
 Zwierciadło, zwierciadło moje!
 Czyliż ci trzeba nietrzeźwości lśnić barwą?
 Nic, nic, nic na dnie,
 Bo gdyby było coś, czułbym w ręku,
 A tak — szukam palcami i darmo, darmo niestety,
 Widać, że palcami szukać muszę czegoś innego,
 Kogo? Co? Kogo?
 ...A... Człowieka... Kobiety!
 Nie marzeń, nie perwersji, nie błękitności rojeń idjotyczności,
 [karkołomności snów bredni...
 Kobiety, ciała, żądy...
 Ach pić, pić, pić Ciebie, o ciało, rozkosz dające, o krużo,
 [o urno, o morze upojeń
 — Kochałem, kochałem tak kochałem szalenie, nadaremnie,
 strasznie...
 Ciebie pragnę brylancie moich marzeń,
 Moich wyuzdanych snów,
 I moich złocisto - przeczysto - anielskich wizji.
 Za ręce, za białe, pieszczone ręce pociągnę gibką postać,
 Pójdź, pójdź, wieczysta nierządniczo!
 Nierządniczo mych pragnień i moich snów,
 Dla mnie, dla mnie stworzonaś
 Zabiorę, otulę, wcisnę, porwę, zatopię sobą
 Ty moja, ty jedyna, ty...

Uciekasz, tak uciekasz odemnie, a tak pragnę...

Czemuż, czemuż o nielitościwa?!!!

Zespólmy naszą wolę.

Ja i ty.

Stworzymy szczęście

Pragnienie pragnienia niekończące się.

Ja i ty.

Gorąco uścisku, war, ramiona zaplecione, włosy opływające

[plecy moje, wargi zaciskają aksamit twych piersi,

[wniknięcie, wnিকnięcie, zacałowanie

Nieskończę nigdy pieśni tej,

Pieśni twojego ciała,

Pieśni... którą uroiłem... aha...

Tu kres mój!

Głupcze!

Urojenie bredzisz w gorączce,

Pijaną dłonią mury rozpychasz twarde i hymny śpiewasz, że

[skaczą i walą się — —

A ty we mgle, w samotności, w obłudności, w samowyl-

[brzymieniu kłamco perwersyjny!

Ty tu... a świat sobie tańczy.

Ty tu... a Twoja zaiste nie o tobie myśli...

Ty tu... i ręce twe nie oplotą kształtu, który ukochałeś —

O słowo zabijające: ukochałeś, ukochałem, bodajbym nigdy

[nie spojrział na prawdę serca mego!

Ukochałem — i jestem sam,

O jasności, o tęczowa moja, o tęsknico słów

Taki sam, taki sam, taki sam tu jestem,

Opuszczono mnie i muszę szukać w sobie... dzwonu

Po co?

— By zgłuszyć rozśpiewanie marzeń, rozdzwonić inne, inne

[marzenie, nie o Tobie, przekłębico, Kochanko, moja,

[moja, nienazwana.

Kończę, nie wydobędę z mgły już nic,

Daremne, daremne szukanie...

Ty zostałeś pozewnątrż, ty, włosy twoje, twoje usta, dusza,

— Dusza Twa obcą była mnie zawsze.

KOSMOGONIA.

Hej! moich rewolucyi dalszy ciąg,
 Godzina czyni bunt zbiegłej godzinie
 I splata się wieczystych buntów krąg,
 Bo z każdą falą nowe Veto płynię.

Zakochaliśmy się we własnym Ja,
 I oczy nasze patrzą nader ciasno,
 Brylantem błyszczą nam prywatna łaża,
 A żary piekieł Danta dla nas gasną.

Hej! rozprzestrzenił się dokoła świat!
 Hej! ileż większy od mojego domu!
 Tysiące rodów lwich, tysiące lat,
 I ja, malutki człek, pośród ogromu!

I jakże się powstydział dziś mój duch,
 Jakże roz tęsknił się znów wolą mocy,
 Bo zobaczyłem stu społeczeństw ruch
 I myśl, co ludy wiedzie jak prorocy.

Jakieś zmaganie się bolesnych sił,
 I rozpaczliwie wyjąca gromadę,
 I pył, wędrownych wozów szary pył,
 I wędrowników wiecznych czoła blade.

O społeczności ludzka, kłębie gwiazd!
 Hej! potracacie się, krwawicie piersi,
 Jęku rzesz, co przerywasz oddech miast!
 — Jam z was, jam brat, wy bracia mi najszczerzi!

Jeno tak jestem dzisiaj jeszcze sam,
 I nie potrafię objąć was rękami,
 Lecz w duszy wszechmiłości ogień mam,
 I wiem, że byłem — z wami — przed wiekami.

I zakrzyknąłem karlim czuciom: precz!
 Bo wiem, że idzie na mnie moc ogromna,
 Jakies górzysko z chmur, płomień i miecz,
 Burza, na stepach niebieskich bezdomna.

I wobec światów raz jestem jak syn
 To znów jak życiodajna, czujna matka,
 I wzbierający czuję w piersiach płyn,
 I duchem poić Was chcę, do ostatka!

I muszę zrobić w życie wielki krok,
 Między narody wejść i między miasta,
 I splątać się w pospólnych sieci trok,
 By nie powrócić tam, gdzie pycha wzrasta.

Bo tyle żywie serc tęskniących mnie,
 Abym człowiekiem stał się, który słuca,
 I rozprzestrzenił ludziom ręce dwie,
 I duchem mym wrósł w społeczności ducha.

Nie powiadajcie, że stracę mą włość
 I zaprę przez to się mej własnej Jaźni,
 Bo ja małościom tylko mówię: dość
 By w ogrom wzrósć w globowej wszechprzyjaźni.

Oto cichajcie, wierzę, przyjdzie dzień,
 O piersi gwiazda zakołacze złota
 W mój dech się zestrumieni miliard tchnień...
 — Tęsknota! Hej tęsknota!... Hej tęsknota!...

Kraków 17. IV. 1920.

ROZMOWA Z OBRAZEM (dyalog).

Ja: Strasznie chciałbym z Tobą pogadać.

Patrzy Ci z twarzy „coś“...

Obraz: Mój drogi, czyż nie wiesz, że czas gadania z obrazami dawno minął?

To wprost nie wypada...

Ja: A jednak odpowiedziałeś mi?...

Obraz: Urojenie! Spójrzj w szklanekę herbaty, co stoi przed Tobą...

Ja: I cóż?

Obraz: Ona gada do Ciebie; krzywi się, trochę filuternie, a trochę smutnie.

Ja: Jesteś może frenologiem?

Obraz: A! Otóż mam Ciebie! Chodzi Ci o kształt Twojej zacnej głowy!

Poszukujesz człowieka z mikroskopem i dynamometrem...

Ja: Impertynent! Powiedziałeś mi, akurat tyle co i ta herbata — to znaczy nic, a w dodatku pozostał mi w ustach specyficznie nieprzyjemny smak...

Obraz: Żal mi Ciebie! Czy taki jesteś zawsze?

Ja: Zawsze, bo poruszam szklanekę, by zrobić w niej minjaturową burzę i wtedy widzę moją twarz... na dnie, ale jakże dziwacznie pokrzywioną...

Obraz: I o cóż Ci właściwie chodzi?

Ja: O burzę...

Obraz: W szklance herbaty?!

Ja: Nie, w moim wizerunku.

Obraz: Więc — jest was dwóch, ty... i ten pod powierzchnią płynu?!

Ja: Na miłość boską, nie mów tak!
To jest przecież j e d n a całość!

Obraz: O co ci właściwie chodzi?

Ja: O całość! Nie porozrywanie na kawałki, ... to żadna sztuka być rozciśniętym na wszystkie strony świata...

Obraz: Wylej herbatę, wleż potem w jakieś złożone ramki,
I bądź obrazem, jak ja...

Ja: A tobie się nie nudzi?

Obraz: Nie, patrzę przecież ciągle na Ciebie.

Ja: Ależ ja, widząc kogoś, zazdrościłbym, że chodzi wolno na przechadzki i wyfrunąłbym pewnie z ramy przez okno...

Obraz: Niemożliwe, byłbyś obrazem, obraz może gadać, ale nie porusza się.

Ja: Jesteś ograniczony dureń!
Nie powiedziałeś mi dotąd nic Mądrego.

Obraz: Rozmowa z obrazami, to kaskada z gór.
Tęcza i woda.

Ja: Na dziesięć Muz Parnasu!!!
Jesteś genialny!!

Obraz: Podstaw rękę pod kaskadę...

Ja: To cóż?

Obraz: Tęczy kroplistej nie będzie śladu,
A woda zwilży dłoń...

Ja: Prawda. Zasmuciłeś mnie.
Jakże prędko można skoczyć ze skrzydlatości do nokturnu.

Jestem teraz cały jak smętny nokturn.
Chciałbym, byś pojął, że cierpię...

Obraz: Czemu cierpisz?

Ja: Tęsknotą, ciągle i zawsze tęsknotą... tęsknota za rozmową z jakimś innym obrazem, niepodobnym do Ciebie, niepodobnym, bo...

Obraz: ...bo jakim?

Ja: ...bo moim. — Tęsknię za rozmową taką, jaką wiodą oto ze sobą tysiące moich oblicz w porządku zlekka filiżance herbaty...

Obraz: Podobają ci się fantastyczne załamania i konwulsje mar?!

Ja: Nie mów do mnie...

...bo znów powstydzę się...

...i już mnie dławi lęk...

Obraz: Chciałbym Cię pocieszyć...

Ja: Nie gadaj do mnie.

Obraz: Jesteś nielogiczny i niekonsekwentny.

Zacząłeś pierwszy!

Ja: O!... czekaj... już zobaczyłem coś...

...zacząłem pierwszy!

Obraz: Odkręciłeś kran od wodociągu.

Ja: I trysnęła kaskada tęczy!

Wierzę w tęczowość wód!

I uznaję wodę tęcz. — Bo wszystko to — płynie
z Ciebie.

Obraz: A ty?...

Ja: Ja potem patrzę tylko bacznie w głąb szklanki herbaty...

Obraz: I widzisz?...

Ja: Siebie.

Obraz: Tylko?!... Co pod tem?...

Ja: Pod tem?.....

Obraz: — Dno!

Ja: Nie! nie posiadają dna moje oczy.

Obraz: A więc?...

Ja: ...będę szukał gwoźdźcia, by się zawiesić w bezdenności, w otchłanności...

Obraz: Drogi przyjacielu! Doprawdy jesteś bardzo interesujący.

Bądźże zawsze jak najlepszej myśli!

Ja: Ty dzisiaj kończysz na tem tylko?

Obraz: Nie! Bo ty zakończyłeś na słowie „tylko“ — i z pytajnikiem.

PRZECZUCIE.

Ty musiałaś teraz mieć przecucie duszy mojej!
Przeczuwałaś, że myślałem mocą i kołysałem się jak huśtawka.
gwiazd?! Od zenitu po nadir!
I było we mnie napięcie i deszcz wysień i ciskanie słowem,
ciche a twarde.
Gdyby duma moja żyła wiek — nie pragnąłbym niczego
więcej...
Lecz dziś chcę, byś przeczuwała...
— Bo poznać mnie możesz jeno przecuciem.
— Przeczuwam Siebie przez mgławicę!
Czy Ty kiedykolwiek zdołasz z dalekości przesyć mgławicę
gromami?
Poprzez ciemności klnę Cię — przeczuwaj!

Kraków 10. V. 1920.

WNĘTRZE.

I.

Ja jestem dziwny stwór, o lotnej myśli,
 To znowu o ślimaczym, głupim chodzie.
 Myśl... szum... gonitwa... poczekajmy... „jeśli“...
 Może... dlaczego... wstyd mi... (— krąg na wodzie —)
 „Chciałbym was wszystkich“... wiem... nie... łeb mnie
 boli...

W mojej... nie w mojej czaszce coś swawoli...
 W mojem... nie w mojem sercu coś się łzawi...
 Przecież mam śmiech na ustach?... — Ciężej, krwawiej...
 Okropniej i brutalniej, cmentarnie i trupio...
 Jakąś ogromną szyszkę myśli łupią
 I wrywają łupkę po łupinie,
 Po nic... bez celu, bez sensu i treści,
 Ziarna do jakiejś nieznannej powieści.
 Przyszło... zmaćło... przewiało i zginie
 I będzie tylko moment naprężenia,
 Zdanie... nie — słowo... i to nie — pół głoski...
 Najkrócej... błysnie... szpilka w mózg... cień cienia
 Od skrzydlisk ptaka, co przeleciał z szumem,
 A za nim myśli zrywają się tłumem
 I rozpalają mózg w Chaos nieboski. —

II.

Ot... taka „wam opowieść“, bo mnie wolno
 Rzucić wam obraz od czasu do czasu,
 Obraz wewnątrz duszy, malowidło lasu
 Mych myśli, albo — gawędą swawolną
 Powiedzmy: wzięść za włosy Bzika we mnie
 I sprezentować wam jak dziwnie skacze,
 Jak każdą swoją cząstką drży tajemnie

I wije się jak piskorz. — Wytłumaczę
 Wam też, że dziś — jest to a to, a potem
 Będzie znów coś innego, że mam w głowie
 Ciągły szalony bieg, że nie wysłowię
 Tego, co kręci głównym kołowrotem,
 Ale, że chciałbym bardzo, że mam miarę,
 Co mierzy wszecz i wzdłuż, że dnem się brzydę,
 Że sondę mam głęboką i prastare
 Pokłady dyluwalne czasem widzę.
 — I że to wszystko gromadzę powoli
 I konsekwentnie stłaczam na dnie duszy,
 I że mnie kiedyś Tworzeń Mus zniewoli,
 A wtedy cudów korowód wyruszy.
 — I takich rzekłbym wam wiele historii
 I każda we mnie prawdą jest najświętszą,
 Ale gra jeszcze poszept większej Glorji
 I myśli mam, co się jak burze piętrzą.
 — Chcę rzec, że mam świadomość takiej nici,
 Co mknie przez głowę mą i głów miliony
 I miąższ mózgowych tkanek krwią ją syci,
 A krew wysysa Ktoś Nienasycony.
 — I że t a m się zbiegają pulsów fale,
 Ogromny bryzg wód, co na księżyc rosna,
 I że mnie w górę coś idzie zuchwale,
 W tęsknocie za Wszechiły dumną wiosną.
 — I czasem przeistacza się powietrze
 I wdycham fluid z łąk Nieśkończoności,
 Lecz mam też myśli — obok mocnych — bledsze,
 Bo... patrzę w koło, czy mnie kto zazdrości.
 — I ciskam w ludzi rozpaczliwą wiarę
 I słów żyjących i prostych orędzie,
 — Bo duszą czytam was, o runy stare:
 Słysz! to nie Wszystko....
 Słysz! potem Coś Będzie.

BOHATER.

Mam bohatera,
Muszę go wsadzić w coś, by go nił,
Gonitwa ma być bez zatrzymywań się,
Strzelanie lotem i błotem.

— Wsadzę go w automobil.

Hej, ha!

Ludzie skaczą po dachach domów,
Ktoś pośliznął się, leci na pysk,
Słup, światło, wieś za wsią,
Pole z prawej strony przierzucam dłonią hen na lewo,
lewe odpycham drewnianem kijem,
Wiatr, wiatr, chwyta żwir, niesie żwir,
Pył, dym, pryska w twarz, dusi w twarz.

— Pan będzie łaskaw się zatrzymać!

Bohater nie gada nic.

Pomiędzy dwie wieżycy lina,
Zarzucają, zarzucają, przemyślne bestje zarzucają,
Raz, dwa, świst.....

....zaczepiło!!

Oplątana kierownica,
Jedziesz, jedziesz do góry, mój bohaterze!
O, jakżeś się rozkołysał w automobilu swym między
dwoma wieżycami, mój bohaterze,

Wysokie, strzeliste wieże,
Lulaj-że, lulaj, bohaterze!

— Lina mocna, — tu i tam,

Kołysz się, kołysz się,

Raz, dwa,

Wokoło, wokoło,

Brak tchu.

— Oto jest granica poziomego wychylenia,
(Ktoś trącił linę mocniej,
Zawirowało... już widać jasny świat przez mgłę szprych koła,
Błyszcząca, czarna, kolosalna obręcz,
Dookolusieńka, hej, ha!

Mój bohaterze!

— Popchnąłem — moi drodzy — bohatera palcem
i wyleciał z automobilu.

Musiał poszybować w kierunku odśrodkowym,

.....Bo to jest strasznie mocna siła.

I bądźcie państwo przekonani, że nie rozbił sobie głowy
[o kamienice,

O księżyc nie uderzył także, bo był nów,
Adieu, mój bohaterze!

Kraków 16. V. 1920.

WIATR ZA OKNEM.

Nad moją rozjesieniałą duszą
 Przeleciał wiatr,
 Wiem, że nadlecą jeszcze orkany,
 Moje myśli,
 Bo moje myśli tego pragną,
 I ściągają się wzajem, żerdź za żerdzią,
 — Ale tymczasem wiatr szumi za oknem tylko,
 Za zwykłym szklannem oknem mojego pokoju,
 I straszy mnie dławiąca myśl, że pewnie spadnie deszcz,
 — Jaka to głupia, bezsensowna myśl!
 (— Bo spadną monotonne pasy z nieba,
 I zbudzę się przy pluskotaniu rynien. —)

— — — — —
 Gdybym był teraz hen, w polach,
 Nawiewałby mi chłodny wiatr w oblicze
 I przez włosy moje przepływałaby nocna niesamowitość,
 Zapach tatrzańskich skał.

Ciemność bez gwiazd,

I oczekiwanie nerwowo-dławiące w piersi,
 Bo jestem sam,
 A może spadnie deszcz,
 Zgasi czucie,
 I przestanę myśleć zapachem wiatru.

Czekam,

Bo zatęskniły do wiatru myśli moje,
 I uleciały z głowy za okno.
 — Jakiś ty niedobry wicherze, zabrałeś mi myśli moje!
 Szeleszczą liście drzew,
 Powietrze pachnie i szepta;

Zamknawszy oczy szukam w głębi czaszki,
 Niema już nic,
Ostatnia, ostatnia myśl,
 słowo,
 głoska,
 pył,
 uczepiły się wiatru.....

— — — — —
— — — — —

I muszę winić siebie, że pozostałem sam w pokoju.

Kraków 2. VI. 1920.

BASILEUS (dIALOG).

Ja: Przychodzisz do mnie?
Czy jesteś kimś drugim?

Basileus: Przybywam z za zamkniętych drzwi.

Ja: Słyszę trzaskanie tysiąca bram w sklepionym, odchodzącym korytarzu!

Wyszedłeś z tysiąca zawieranych drzwi.

Basileus: Objeżdżałem wprzód spiralą dokoła ciebie.

Zrozum, że znajduję się o wiele stopni wyżej.

Ja: A... to ty!

Pojmuję Ciebie Nienasyceńcze!

Byłeś 50 wieków temu.

Basileus: Pchnąłem komórkę mózgu ludzkiego
przed tysiącami lat

Ty zaś jesteś kulą, co goni w próżnię i czeka Cię
tragedya prawa bezwładności.

Ja: O... cisnąca krata czarnych plam
przed oczami!

Zwęża się i dusi czaszkę!

Pozwól, bym dostrzegł Cię tam gdzieś
w niebieskawej głębi.

Basileus: Przeczuliłeś mnie już dawniej.

Ja: Byłeś posępny, wielki i ciemny.

Musiałeś być ciemnością.

Bo zawsze widzę kruczają otchłań już tam,
gdzie ledwie stopa moja była.

Chłoniesz mi ziemię, na której stałem.

Basileus: Widzisz, to takie proste.

Nie szukaj tu metafizyki.

Poco spinać się na koturny.

— Powiedzmy, że tak być musi.

Ja: I to nazywasz prostem?!

Basileus: Gdy nie uwierzysz mi, staniesz się kabotynem.

Ja: Jakże uwierzyć ciemnej przepaści?

Przepotworna i tytaniczna

I nie wiem, gdzie kończy się brzeg,
na którym stoję...

Basileus: Idź naprzód.

Ja: Gdybym mógł, gdybym mógł szepnąć
do ucha Tobie tak cicho, by nie usłyszał
nikt... poprosiłbym

Basileus: Prośba?.....

Ja: ...to jest złamanie duszy...
i wstyd...

...poprosiłbym o litość...

(Czy przeczułeś moją mękę?

Mękę kołujących pod mózgiem łez?)

Basileus: Więc musisz odpoczywać?

Ja: Ty tylko pytasz mnie?

Dlaczego tylko pytasz?...

Basileus: Tak! nie mówię nigdy rozkazująco...

i z przekonaniem i pewnie.

— Jestem jak luźna nić pajęczej sieci.

Nie mam ciężaru i nie pokazuję
palcem kierunku.

Ja: Za tobą posłyszałem teraz słowa, których
nie wypowiedziałeś.

Był to dyssonans.

Uderzyłeś go lat temu tyle.

Basileus: Otóż to.

Musisz bowiem zrozumieć energję dyssonansów.

Ja: We mnie?

Basileus: Tak.

Ja: Nie zadzwoniłeś teraz fałszywie?

Basileus: Mieliśmy przecie mówić o czemś innym.

Wracajmy do tematu.

Ja: Usunąłeś mi ziemię z pod nóg...

Lękam się bliskości twojej.

Ukradłeś mi przed wiekami kawał
duszy, dając mi go właśnie.

Basileus: Zatrzymałem w dłoniach cugle.

Ja: Okropnem jest Twoje kierownictwo.
Uciekam, uciekam przed niem...
Dalej iść muszę od Ciebie.

Basileus: Pozostanę mgłą,
co sferę tworzy dookoła...
Będziesz mnie czuł na rzęsach własnych oczu.
Przebijaj mgły!

Ja: Czyli to dyssonans?...
— Przebiję!

Kraków 10. VI. 1920.

NARÓD.

Słuchajcie wy nadciągających szeptów,
 Słuchajcie zgrzytów dusz,
 Zatargało bólem narodowym,
 Rozumiecie?
 Narodowe grania!
 Zostało w nas coś przecie,
 Choć odjechaliśmy daleko
 Od czucia mas.

Kruk, kruk
 Kołysze się nad głowami,
 Zadrzało coś w sercu mojem,
 Biję serce,
 Niepokój wisi nad nami,
 Parność łez pod powieką,
 Może to Czas?
 Już czas?
 Zakończyć zagadnienia swoje
 I może zacząć być
 Duszą ziarenka piasku,
 W jednej budowlanej cegle.
 (— Życie w iskierce
 Dla ognia —).

Potrzebujemy narodowego blasku,
 Kochamy się w chorągiewkach,
 (— to ja i to rzesza —)
 Nie mówcie o tem nic.....
 Od krańca po kraniec
 Myśl się odbija od myśli,

Fale nerwowych drgnień,....

- Słyszałeś, zostały bataljony dwa....
- Słyszałeś, złe idzie od Kijowa....
- Słyszałeś... z głodu umierali....
- Słyszeliście... między ludem....
- Przeczujecie co będzie?... .

— Mówili....

A nas dusiło w gardle.

— — — — —
— — — — —
Rozmarszczyliśmy potem brwi,

Zagrała muzyka mazurowa,

— Było to wczoraj, dziś, jutro...

Będziemy śmiali się przez wieki,

Bo przed wiekami był Śmiech.

— O trosko ty moja, trosko niecierpliwa,

Wypiłem ci dzisiaj, wypił, głowa mi się kiwa.

— — — — —
— — — — —
Płakaliśmy nad sobą,

Wiemy, co znaczy dzień — jutrzejszy

(— Jutrzejszy tylko i tylko mój —)

I jakże dobrze jest nam z tem,

Jak dobrze!

— I nazwaliśmy wszystko to płycizną,

Co nie jest z chwili naszych chorych dusz,

— (Rzeknę szeptem): nazwaliśmy Ojczyzną

Pokład, co mniej głęboki,

Przy którym tylko koturnowy stróż

Z chorągiewką.

Na miłość Boga: Prawdy!

Przerwała się w nas

Właściwa narodowa struna?

Chorągiewkom, ułanom kres?

(— Żałowano, lano łzy —)

Pajace, trąbki, orły białe?

(— Zabawka, święte słowo, mit —)

— Wylejcie jeszcze więcej łez

Nad smutkiem waszych dusz —

— Czy nie czekacie pioruna?
Zapowiadanych cudów?
Męża, którego tytułem „lud ludów“?

— A może tylko trucizna
Odmieniła serca od serc....?
Ja nie rozumiem ciebie,
Nie rozumiemy fali głów
I słów,
Co idą z miast do miast,
Wichrami między wsie. —
— To może Ojczyzna?
W milionach piersi jeden ruch
I ból gdy draśnie — to wszystkich.
(— Powiedział wielki duch:
„To Polska właśnie“! —)

— — — — —
Zakochaliśmy się w muzyce,
Zakochaliśmy się w niewoli,
Potem zgłuszyły nas ulice,
— Radość i ból i siłę
Rozdarowaliśmy swawoli.

— — — — —
— — — — —
— — — — —
Czy trzeba będzie trupów?
— Teatralne są nasze oczy.
Malujmy, mówmy,
Opowiadajmy sobie sami.
— „Zapaliło się niebo nad trupami,
Widzieliście czerwone stopy?“ —
— Jeżeli potrzeba wam kraczących sępów?
Przylecą!!
— Potrzeba wam pożarnych błyskawic?
Zaświecą!!
Tylko wołajcie *strojem* duszy,
Drzeniem prawic,
Kameleony!
Jeżeli macie pobojuwiska,
Jeżeli macie trupie ptactwo
We własnej krwi.

— To wstały daleką nawałnicą
I — przysięgam — zawałą się
Łomotem zesypywanej grudy!!

Czekajmy żywcem pogrzebania.

— Głębia, cyt....
Słuchałeś?
Czy nasłuchiwały ludy?
Uchem do ziemi....

Droga?.....
Po szlaku gorączkowych słów,
Po kołysaniu sercem,

W oczach odbija się to
Co stało się tysiące temu lat i mil.
(— Jak fala,
Jak trącanie fal —)

Poco
Choroba czułościowych szeptów?
Gra słów?

— A to jest tylko składanie,
Zesypywanie ziaren piasku,
I przewlekanie długiej nici.

— Zobaczycie kolorową linję
I tylko prosty ruch —
Ślepi nie widzą bowiem

nawijania przędzywa.

Kraków 13. VI. 1920.

TEJ NIEWYGRANEJ...

Tej niewygranej, tej srebrzystej pieśni
 Co mi płakała gdzieś na duszy dnie
 Echa się tłuką w zasmętnionej mgle
 I kształt z bolesną mocą się cielesni.

Przychodzi zdala utęskniony cień
 Błędne me myśli w jeden węzeł splecie...
 Ktoś gdzieś perlistą nutę gra na flecie,
 Jakiś pogodny, wiosenny gra dzień.

Tak uciekałem w świat przed Tobą maro,
 Znekany myślą uciekałem w świat,
 Lecz jakiś cień na duszę tak mi padł,
 Że tęsknię, piosnkę zasłyszawszy starą.

Więc taki smutny dziś korowód słów,
 I tak gdzieś błądzi duch z pobladłą twarzą
 I złote nasze dni znów mi się marzą,
 Miłosna wizja dwóch schylonych głów.

— — — — —
 Dzisiaj podwójnie ciężko mi na duszy,
 Bo wstydzi mnie sentymentalny jęk.
 Wyrwali serce dzwonu i dzwon pękł,
 Do gromkich już się hymnów nie poruszy.

Dziś wciąż wytęskniam Twój daleki głos,
 Boś wciąż jest dla mnie jak wówczas kochaną,
 Lecz wiem, że coś mi na wieki zabrano,
 — — — — — Mój los.

O MYŚLI ME...

O myśli me! nie rodźcie się już więcej,
Chyba, że jawiąc się zwiększycie żal,
Wszystko co koi i żyje goręcej
Nie mojem jest — niechaj ucieka w dal. —

I już nie pragnę żadnego pragnienia,
Bo to, com marzył dziś, zamilkło w mgle,
Już tylko chcę obłędu, skamienienia,
Boleści chcę, boleści większej chcę!

Oby się wszystko na mnie przywaliło,
Niech piersi ciężki mi przydusi głaz,
Niech zorze serce w strzęp, aby nie biło,
Bym raz wył z bólu — i nie myślał raz!

Ból wpił w mą duszę swą szponiastą rękę,
Szydzi wspomnieniem, targa poprzez sny;
I ciało musi poznać tę udrękę!
Cierp! ty przekłete, nienawistne ty!

Raz wzrok w obliczu utkwic ukochanem,
Na wieki jasną zjawę w duszę wbić,
I potem runąć bolu huraganem
Gruchotać kości, palić, jęczeć, wyć. —

BAJKA.

Raz podałaś mi dłoń
 I zaprowadziłaś mnie daleko.
 — Czy to musiałaś być ty?
 Pamiętam, zleciałaś w szumie nocy...
 Tam, za dygotaniem drzew...
 Daleko...

Poszliśmy tam, gdzie nieba ciemno-siny
 pas dotyka plamy atramentowo-czarnej,
 Był jakiś szary fjord,
 Nie chodziłem nigdy fjordami
 I było mi dziwnie i niesamowicie,
 Ziemia jest szara i kamienie szepczą i szeleszczą,
 Ktoś wysuwa rękę z lasu i czyni długie, powolne znaki,
 Chodzą cienie,
 — To może ptaki umierają.
 Morze załzawiło się,
 Wziąłbym iskrzące się łzy z tej powierzchni,
 Ale to Ty może musiałybyś płakać także,
 A ja chcę, by nam było smutno, lecz cicho,
 — Posłuchaj,
 Pluskoczą fale morza,
 Uderzają wiosła o wodę,
 Coś spina się na kamienisty brzeg,
 — Czy lękamy się niewiadomego?
 Bo z fal przyjechało coś ku nam.
 Cicho...
 To przecież znajduje się poza,
 W nas jest tak cicho, tak cicho,
 Noc koło głów nam wiruje,
 — Czy nie odczuwasz miła obcości?

Przecie jesteŝmy na nieznanym brzegu,
Nikogo dokoła, nikogo,
Nad wybrzeżem jasno-szare ŝwiatło,
A nad wodą zielonawe błyski,
 To księżyc.

— Dlaczego nic nie przelatuje powietrzem?
Stanowczo jest tu za spokojnie

— Miła, tobie zimno od morza?

 (— Czy jest gdzieś w głębi droga?
Możeby dusza Twoja przybyła w cichą goŝcinę?)

 Bo tak — jesteŝmy osobno,
U mnie dziś dusza jest cicha,
Ale drży na promieniach księżycy —)

 — Słyszysz, pluskają fale,
Czy doleci do nas ten wiatr?
Bo wiem, że ciągnie z daleka,
— Aha, za lasem jest szarość także,
Kamienie i pustka i piaski,

Więc,
Jesteŝmy w samotnym fjordzie,
Pólcienie nie zmienia się nigdy,

 — Czy to coŝ płynie przez fale?...
Miła, gdyby to była łódź nasza.....

— — — — — — — — — —

POCIĄG.

Popłynęłaś przezemnie falująca ziemio,
 Bo pociągiem przewiałem przez twoje zakręty!
 Usłyszałem daleki gwizd
 I oto miga mi się las.

- Co tam rozkurcza się wśród ciemności?
- Czy to ludzie pomiędzy drzewami?
 — czarne bywają także upiory...
 O chłód, o chłód.

Przypomniałem sobie las,
 gdzie były drzewa, ale były dziecinne.
 (— Liściaste — to tylko śmiały się
 Smerekami — straszło podczas wichru. —)
 O lęk, o lęk!

- Czy to się może już kończy
 Jeszcze, o, jeszcze lasu!
 Zawiało zapachem szyszek...
- Gdybym mógł
 zatrzymać to uczucie czarne,
 co palcami dotyka mych piersi...

— Czy byłby większy lęk
 tam, w lesie.....?

Perwersyjna rozkosz straszliwości
 (— a może *tam* jest spokój — ?)

Byłbym może wyskoczył z pociągu,
 Ale w tej chwili
 Zrozumiałem, że to błyskawicą
 toczy się moja dusza.

KTÓRĘDY?

Obrywanie margaretek to strasznie dziecinna historia.
Zrywałem płatek po płatku.

Była bowiem jedna ulica,
o której nie wiedziałem nic,
I była druga,
kędy straszło.
— Gdzie pójść?

Każdy mój ton jest inny,
nawet nie powtarza się w oktawach.
— To płatki wszystkie są różnokolorowe —)

A może
ręce moje opadną ze drżeniem
i potoczy się na mnie ulica.... — ?
Czemu zniszczyłem kwiat?!
Więc *tak* czy *nie*...
Omyłka...
i była to zaledwie połowa drogi...

(— Gdybym poszedł prosto nie znalazłbym
Boga,

Więc
muszę podążyć głębiną
Tylko
zabraknie powietrza dla płuc.
Nic to. —)

Kraków 17. VII. 1920.

ĆMY.

I.

Gdy przestąpię próg
 Zamknie się pokój biały
 I będzie trwożliwie i pusto
 (— Myśli moje mnie tam już czekały —)
 (— I Bóg —)

II.

Nie przyszedłem rozglądać się wokoło
 (— Czy kula potracona pobieży?...)
 Naturalnie przyjacielu możesz rozchmurzyć czoło,
 To tylko stary pył tu leży,
 I możesz śmiało sfolgować ironicznym uśmiechom
 A ja krzyknę
 (— przez łyżę —)
 Czy odpowie echo?...
 Czy (— może —) ty?

III.

Wałęsają się ćmy między ścianami
 (— Chciałbym usłyszeć łopotanie kroków —)
 — Może to ktoś pójdzie wielkim krokiem
 I mury się wydłużą
 W jakąś pieczarę dużą
 I ze zmrokiem
 Zabłyśnie w oddaleniu światelko...
 — A wtedy.....?
 (— Wystrzeli ze mnie tęsknota
 Do światła onego ze złota —)

IV.

Była we mnie cisza
 (— Czy śmierć —)

- Stanowczo byłoby to za łatwe
 Gdybym teraz
 Utuczył piersi powietrzem
 I krzyknął jak chłopak po lesie...

V.

Klekotały krzyże u wiatraka
 — Czemuś uciekł z mojej kieszeni?
 Dobrze ci było tam i ciepło...
 Otoś jak kusy wyjechał na śmidze,
 Do góry przyjacielu, do góry!
 Zlecisz, ukąpiesz się w błocie...
 (Czemu uciekłeś odemnie
 Don Kichocie?! —)

VI.

- Babusiu, użyjcie mojej głowy za tygielek!
 (— Byłem dziś bardzo leniwy
 ...Może potrafi ona...)
 To znaczy:
 Kiedy nietworzę czarów
 ...Zapraszam z ugrzecznieniem Hekate.

VII.

- A jeżeli otworzę tamte drzwi....?
 (— Ktoś ty? —)
 Przystąpiło do mnie wielkie Czarne,
 No — i gdyby naprzykład ukazało mi zwierciadło
 Byłbym zapewne bledszy od myśli mojej.

VIII.

Rzekł niewidomy:
 — „Ten pokój jest zupełnie czarny“...
 (— Słowa nie potrafią nigdy być płaczem,
 I to jest dobrze,
 Bo pisząca dłoń drżałaby konwulsyjnie —).

CHWYTAŁEM MYŚLI MOJE.

Chwytałem myśli moje
 Po wszystkich piętrach głowy,
 (— Stada pierzchających wróbli —)

Namyślałem się głęboko
 I dochodzę do przekonania :
 — Po zapyłonym strychu goni wiatr,
 — Kołyszą się okna i drzwi,
 — I jest uczucie wysokich gór,
 — Wichrowi bardzo z tem do twarzy,

A więc

Jest może dużo czasu do namysłu,
 Poco zaraz stawać mocną stopą,
 Przecież lubimy poświst wichru,
 Trzepotanie smerekowych kiści.

 Słuchajmy !
 Wiatr przelatuje nawskróś poprzez głowę,
 Przeciągiem śmiga przez otwory uszu.

 A smutek ?
 Skąd ?
 Przybiegł z pokłonem drzew.
 (— Słyszałem śpiew
 Kogoś, daleko,
 Co nie był nigdy —)
 — To jest logiczny błąd
 myśli,

Bo powinienem spojrzeć tam,
 Gdzie wiatr był domem,
 I budowniczym i mieszkańcem,
 Choć tylko wiatrem był.

ODI PROFANUM.

Poemat z prostych słów.

(— Dekoracje stały z daleka —)

Trzeba tylko,

by drżały naprężone dłonie.

Poszukiwanie Człowieka. —

Ćmy, ćmy ze zgaszeniem lamp.

— Nie migotają skrzydłami,

Tylko słyszę papierowy klekot.

— Czemu was tyle dokoła?...

I mam to wrażenie,

że snują się z głowy długie włókna,

(— naturalnie białe i pajęczce —)

(— może ożywione sny....?)

A ćmy

usiadły jaskółkami na telegraficznych pasmach
i drgają upiorami skrzydeł.

— Kto pochwycił pajęczynę włosów?!

Przechylono mi głowę w tył,

A wola moja stała się zimną,

Opuściła kostniejące dłonie,

Potem spłynęła w dół,

Kulkami ze szkła po ciebie.

Wytrzeszczenie oczu.

Czy rozumiecie,

że poszukujący

może w ciemności zobaczyć to,

co jest jak biała ręka,

pocięta półcieniami żył.

Dla was to nazywałby się strach,
I Krzyczelibyście.

(— nie wiecie bowiem drogi szeptu,
— chodziliście nocą po turniach? —).

Raz zadrzałem w mrokach,
bo w głębi za źrenicą
zatrzepotał się czarny motyl.

Cicho!

(— wyście pełzali ziemią —)
— N i e n a w i d z ę ! !

Kraków 19. VII. 1920.

CHATY W NOCY.

Tam pewnie w dali są chaty ludzkie,
 Przy ziemi bowiem zamigotało,
 I serce moje ścisnął dziwny chłód.
 Bo przecież

droga jest pusta i ciemna,
 i idę sam,
 a po zagrodach ujadają psy.

— Czy to jest bardzo daleko?

Zawiało spokojem od chat,
 Dreszcze po wierzchołkach drzew.

— Co to?... — Świerki?... Szum....

— Gdzie to?... — Czy śpiew.... las spał....

....może tłum

błędnych ptaków

wołał

na poniewierki...

...w świat?

Zawiało spokojem od chat...

(— Uspokój się zalękniona wilgo,

Jest jeszcze całkiem czarno,

i trzeba cicho spać —)

Las jest zupełnie obcy.

Zapach żywicy trwa

i łyków moich jest za mało.

Czyli

ja pozostaję osobno,

a gdzieś istnieje *Ktoś Inny*.

i nic nie może być tylko mojem.

Idę niebieskawą drogą,

a w dali ujadają psy.

(— Były molowe akordy, spływanie księżycowych nici —)

Wierzchołek usrebrzonej jodły
nachylam dłonią na dół.

— Dlaczego w zapachu tym coś płacze?...

(— Była samotna droga,
i była czarność bez miary,
i srebro lśniących traw,
i chłódność była
w okolicy serca mojego —)

— Czy tam, kędy psy ujadają
są ludzie za jasnemi szybami?...

Kraków 19. VII. 1920.

PRZYCHODZĘ NAD JEZIORO.

Droga będzie szła jeszcze kilkanaście kroków,
A potem urwie się.

I to jest Z a k o ń c z e n i e.

Więc poco

wysiłek rąk, co biją o powietrze,
i łyż i łyż,
(— naturalnie tylko te,
których wy nie widzicie —)

I to napięcie Ducha.

O Boże!

W płuca zaciągam i ziemię i morze

Tyle, tyle powietrza,

I pełną piersią głos wydaję.

Czy kto słucha?!

Ostatecznie byłoby mnie wszystko jedno.

Ale

otośmy biedne figurki,
niewiele gliny, nieco nerwów.

— I cóż, i cóż...?

Lalka upadła i popłynęły łyż.

Posiadamy nadmiar łez

I jest w nas coś, co jest proste,

A jest też głębokie bardzo:

To Żal.

(— Powiedziano: oczy do płakania —).

— Jeżeli załamie się coś,

Posłyszycie martwy plusk wody.

Staw jest głęboki bardzo,

I jest bardzo, bardzo zimny.

Oto już :

o twarze wasze zawiąło dreszczem.
To trupi chłód od tego, co utonie.
Upadnie kamień czarny,
Coś poszybuję w dół,
I znowu będzie cicho...

Naturalnie to nie może być człowiek,
Bo fantazja ma kolorów tysiące
A molowe akordy są jak srebro
I kołysają melancholję dusz.

— Chory jesteś towarzyszu
(— Czy to ktoś mówi do mnie...? —)
Potrzeba lekarza takiego,
który z powierzchni jeziora
potrafi zetrzeć atramentowość.
Falująca trwoga może zniknie
I będzie pajęczynowo i biało.

Cicho — — — — —

— Jeżeli to ty,
To potracę wiosłem o fale,
A uwierzę, żeś człowiek żywy.

Natężyłem duszę
I elektrycznością z powietrza
Coś przepłynęło w piersi moje.

— Więc jeszcze kroków parę,
Chodzi tu o postawienie kroku.
Przeczuwam, że dochodzę do jeziora.
A potem — — — — — ?

(— Czy Anhelli był rzeczywiście?...
droga po smudze księżycy... —).

Z CYKLU: „MARINETTINADY“.

PYŁKI.

(*Młody* siedzi na ziemi pod oknem. Smuga słońca wpada na niego, on zaś patrzy pod światło i łowi ustami pyłki świetlane).

(*Młoda* wchodzi po cichu drzwiami do pokoju).

Młoda: Dzień dobry ci. Czego siedzisz na ziemi?

Młody: Bo przez to wyżej mam słońce. Ale poco się pytasz?

Młoda: Śmiesz mnie, że tak roztwierasz usta i zabawnie chcesz coś uchwycić. Przecież powietrza nie zajadasz?

Młody: Zjadam te złote pyłki.

Młoda: Czy ci smakują?

Młody: O tak. Smaczne są, bo świecą, — o widzisz jak iskrzą się kolorowo, ten mały goni za rojem kosmetycznych, mikroskopijnych koliberków —
— Chodź łykliwa istoto.

Młoda: Przecie się niemi nie nakarmisz, umarłbyś z głodu?

Młody: Nie wiesz nic, wszak żyję.

Młoda: I ciągle patrzysz w górę?

Młody: Tak, bo na tych promieniach ma przyjechać Pyłek zaczarowany,
Muszę czekać, jak go zjem, to będę całkiem syty.

Młoda: Jesteś ślepy!

Ja właśnie jestem Pyłek Zaczarowany.
Przychodzę być Twoją.

Młody: Nieprawda. Pyłek zaczarowany ma przyjechać przez okno, zesuwa się po złotych promieniach i wjedzie do ust moich jak saneczkami.

Ty przecie weszłaś drzwiami.

Młoda: Zaczarowany Pyłek ma 111 dróg do wyboru.

Młody: (Odwraca się do światła i łyka pyłki).
Ty przecie weszłaś drzwiami.

Młoda: Jesteś nudny i głupi.
Udław się swoimi pyłkami.

(Wychodzi drzwiami).

(Pyłki zielone i czarne i zgniło-żółte wpadają przez okno)

Młody: O! O! O! Jakie czarne, jakie gorzkie, jakie złe.
Gdzie moje Błyskające Pyłki?

Pyłki ciemne (przysypują Młodego).

Z CYKLU: „MARINETTINADY“.

NALEPIACZE PLAKATÓW.

(Synteza teatralna).

(Przestrzeń pusta, znikająca w dalekiej perspektywie).

Dorgan (stoi pośrodku z głową wzniesioną w górę; na piersiach ma gruby pokład nalepionych, jeden na drugim, plakatów i afiszów).

Dwaj Nalepiacze plakatów (mączają wielkie pędzle w kubłach i nalepiają na nim coraz to nowe plakaty).

Dorgan: Coraz mi ciężiej pod waszemi
plakatami.

I Nalepiacz: Mówiłeś przecie, że to cię cieszy...

II Nalepiacz: A zresztą: jesteś od tego (*nalepia*).
Oto: świeża dzisiejsza gazeta...

Dorgan: Patrzę z dumą dokoła, że wszystko u m n i e
na piersiach się mieści... ale mi coraz ciężiej.

I. Nalepiacz: (*nalepiając*). Oto nowy koncert... a teraz
idzie gwiazda filmowa...

II. Nalepiacz: Nie ruszaj się... co czynisz?!

Dorgan: Już dość mam tego!!!

Zazdroszczę wam!!!

Ja także chcę nalepiać!!!

(Nalepiacze cofają się zdziwieni, on za nimi)

Dajcie mi wasze pędzle!!!

I. Nalepiacz: Obłąkaniec!

Dorgan: (*wyciąga z kieszeni wielkie papiery*):

Mam i ja swoje plakaty!!

II. Nalepiacz: Szalony: Na kim nalepisz?!

I. Nalepiacz: Oprócz nas i ciebie niema tu nikogo...

II. Nalepiacz: A m y — nie od tego!

Dorgan: Pójdę... poszukam...

(idzie parę kroków, chwije się; gruba warstwa nalepionych plakatów mu przeszkadza)

— Przekłete te wasze plakaty! Poruszać się nie mogę! Zerwę je, zniszczę! *(zdiera po kolei z piersi plakaty, ostatnią warstwę zdiera ze skórą, ukazują się pokrwawione piersi).*

O! stargało mi mięśnie... jakże piekielnie pali...

I. Nalepiacz: Masz teraz gdzie nalepić swoje...

II. Nalepiacz: My zaś... idziemy. —

Dorgan: Zimno mi i paląco... nie władnę dłonią...

gdzie pędzle wasze.... spróbuję.... *(przykłada własny jakiś afisz do piersi: wielka „klepsydra“ z czarnymi obwódkami, w środku czarny znak ∞)*

Ach! jakże to piecze! O męko!

I. Nalepiacz: *(wraca się)*. Widać, że będziemy musieli powrócić do pracy.

II. Nalepiacz: *(wraca się)*. Ach naturalnie. — Byłoby biedakowi zimno w piersi *(nalepiają)*.

Dorgan: Może się jakoś przyzwyczaję...

(zwiesza głowę).

Koniec.

SZEKSPIR: „BURZA”.
Tłómaczenie własne.*)

EPILOG PROSPEROWEJ HISTORJI.

PROSPERO

(*rzecz zamyka*).

Już czary moje moc straciły
Posiadam tylko własne siły
Coś było, coś się rozprysnęło
I nie wiem w czym jest moje dzieło
Zaczarowałem lasów liście
I nerwy dusz i widzieliście
Jak zatoczono taniec dziki
W nieziemski rytm mojej muzyki.
Dzisiaj me przerażone oczy
Dojrzały Boga w leśnej mroczy
I lęk uściskał moje skronie
Bo czułem jak skostniały dłonie.
Dzisiaj się z wami żegnać muszę
A wstyd mi że mam smutną duszę
Przyzwyczailem się do siły
Lecz dłonie moje czarów zbyły.
Gdy oto mówię wam, na nowo
Łzami mnie dusi każde słowo
Bo wiem, że jest tragedia wszędzie
Lecz śmierć, czy była już, czy będzie?
Czy wasze cienie mnie opłyną
I krzykną, że płochość jest winą?
Przecież by było znacznie prościej
Pozbawić starca świadomości
I kres położyć poniewierce
Wbijając mu nóż zimny w serce.
Czyli mnie przerażliwość zgnębi
I pustkę w własnej dojrzę głębi?

*) Parafraza (przyp. wyd.).

UCIECZKA.

Ktoś krzyknął na mnie
I zmartwiony uciekłem do lasu.

Była muzyka nerwów
(— Kto wytrzyma więcej —),
I wołanie z jaskini ciemnej:
„Spokoju“ !!!

Echa były czarne
Odgłosy bębniły po wodzie
I całkiem wyraźnie
Wołało, wołało z chmur:
„Spokoju“... (jedno tylko słowo).

A więc uciekłem do lasu
I płynę na szumie drzew
— Jesteśmy dziwnie leniwi. —

Kołysały się puszyste trawy
Więc rozumiałem, że przyjdzie sen.
Droga całkiem prosto
Na końcu tylko znajduje się Nie Myślenie...

W kątach oczu zaledwie utaił się ten szept,
I to jest wszystko, co porusza moje nogi.

— — — — —

Ostatni kawałeczek świecy
Cztery albo pięć błysków
I zaraz dopali się nic. —

— Jest pewien dziwny smutek
 Co lękiem perli czoło —
 I oto trwoży mnie
 Że zgaśnie to, co dławi w kątach oczu,
 I tak zakończy się wszystko.

Dusza moja goniła mnie,
 A ja uciekałem do lasu.
 (— Słyszysz, szumią drzewa —)
 (— Pamiętasz, całowanie róż —)

Krzyczałaś na mnie potęgo
 I zaciskałaś mnie w dłonie,
 (Byłem jak kulka gliny),
 (Trzeba z niej było ulepić cegłę —)

Spojrzałem ci w oczy Potęgo
 A w głębi źrenic
 Była daleka droga
 Bielony szlak bez końca.

Czy to może obawiałem się tego ?

Zabrakło dla mnie powietrza
 I uciekłem kraść je w lesie
 Chcecie zrozumieć ciszę boru
 (— Słyszysz, szumią drzewa —)
 (— Pamiętasz, całowanie róż —).

Powiem wam
 Jest tam walka partyzantów
 Niepokojące, dalekie strzały
 I ostry poświst kul
 Z każdego drzewa wychodzi
 Człowiek co pyta
 (— może duch)

I po liściach trzepoce się moja myśl,
 Ptak przerażeniem dławiony —

— Był mrużący, sosnowy las
Zapraǳiałem spokoju
A oto wyszłóś ku mnie Natężenie
 (— błogosławione wichrem
 i rozspiewaniem igliwia
 i duszą moją błogosławione —).

Rembertów
24. VII. 1920. J. F.

SAMOTNOŚĆ.

Myślałem raz sobie cichutko
 Jakby to dobrze było
 Gdyby z mych śnień o miłości
 Choć jedno się spełniło.

I może jest rzeczywiście
 Między tyłoma innemi
 Jakaś, co duszę rozumie
 I rozumie gorącość tej ziemi.

Bo jeśli tęsknię do czegoś
 I dłonie prężę do słońca
 To znaczy, że chciałbym wybraną
 Całować, całować bez końca.

Nie jesteś mgłą ani cieniem
 Ale może nie jesteś żyjąca
 (— Kochałem Cię w szumie lasu
 Rozumiem Cię w smętku miesiąca —).

A jeśli czasem myślę
 Że prócz ciebie mnie nic nie uleczy,
 To nie jest romantyczność
 Lecz szary smutek człowieczy.

Stęskniłem się do Ciebie
 (— Był las i było wichrowo
 Leżałem sobie na wznak,
 A drzewa szumiały nad głową —)

Bo gdybyś ty mnie kochała
 (— Zamroczy mnie smutek, zamroczy —)
 To pewniebyś przyszła cicho
 Pokładłabyś mi ręce na oczy.

A wiesz, jest tu wiosennie i jasno...
 Ciekawym czy Twoja myśl jest ze mną
 Bo znowu byłbym niespokojny
 Duszę miałbym smutkiem ciemną.

Nachyl głowę, pachną Twoje włosy
 Jesteśmy dwoje małych dzieci
 Czego się nie rozśmiejesz do mnie?
 Popatrz miła, radością słońce świeci.

Jest czasem tak dobrze, tak dobrze
 Tak jest poprostu ślicznie
 Że pojęcia uciekają z głowy
 A dusza myśli muzycznie.

Namiętnie całowałbym Twe ramiona
 Wiesz, jestem zaniepokojony
 Jest w boru tym wiele dróg
 Niewiem w jakie prowadzą strony.

Przezucie szumi po lesie
 Wiewiórką po czarnym pniu spada
 Miła, w źrenicach Twych widzę
 Twarz moją i jest blada —

Zachowaj jeszcze choć niewiele,
 Tą precudną grę subtelności
 (— Długie spojrzenia z pod rzęs,
 Ale nie mówi się wcale o miłości —)

Przechodzimy korytarzem drzew
 Daj ramię (— bliskość Twego ciała,)
 Chcę ja Ciebie prowadzić
 I chcę byś się na mnie wspierała.

Jeżeli popatrzyłaś do głębi...?
Rozumiesz... płakało każde drzewo
Chciałem osłonić Cię ramionami
Przed łez ulewą.

Było wyolbrzymienie miłości
Władze ducha do niej zatęskniły
(— Czy może było za wielkie...
I przestraszyłaś się siły...?)

Zabijałem wszelką ironję
Ale smutek pozostał bez miary
Ciekawym, gdzie kończy się droga
W pośrodku puszczy prastarej...?

Przez szarą kratę gałązek
Przenikliwie mnie się przypatruje
Samotność, a ja całkiem naiwnie,
Zaczynam ją sobie uświadamiać.

Rembertów 25. VII. 1920. J. F.

MGŁA.

Obracało się koło tęczy,
 A jeżeli ktoś,
 Umiał słyszeć muzykę sfer,
 To elektryczną wstęgą po czole
 przepłynęła mu rozkosz
 (— różnica najdrobniejszych nuansów,
 — i świadomość wszystkich części sekundy —).

— Każda melodia najprostsza
 Zlatuje na mnie Chimera
 I spogląda oczami kobiety.
 (— spojrzenie cichego wieczoru,
 a także nieco szydercze —)
 I wtedy uświadamiam sobie wszystko,
 Ociężałość mojego ciała
 (— daleki jestem i błakający się —)
 I białość kochanych dłoni
 (— zapach róż wiązanych w bukiety —)
 I serce moje bije
 jakąś przesmutną sonatą
 (— „księżycowa“, czy „pathetique“ —)
 Potem przychodzi ktoś
 — i tylko pyta to:
 — Co myślisz?

Wybaczcie panowie z pytajnikiem
 — Nienawidzę waszych paragrafów!
 (— Numerowanie uczuć i myśli —)

— Oto przed lasem leży mgła
 i nie zobaczycie czarnych pni

Ani nie zamigoczą wam liście

(— mgła...? —)

(— może powstała nad moczarami, gdzie o zmroku
niepokoją błędne ogniki — ? —)

— Oczy moje was widzą

Przez mgłę

Świdruję duszę do dna.

— Bo to jest moja wola!

(— może lęk —)

Uciszać rozśpiewanie liści

I nagarniać przed oczy mgłę.

(— Nie rozumiecie tęczy na dnie źrenic —)

(— Pożądanie nazywanycn kol rów —)

Powiem wam :

Ze szczytów skalnych turni

dłoniami zagarnąłem mgłę;

Rozkoszujcie się przynajmniej

Świeżością zapachu Tatr,

Będzie dla was muzyka.

(— To wystarczy! —).

Lwów 30. VII. 1920. J. F.

SREBRNA ALEJA.

To jest dziwne i niepojęte,
 W powietrzu liljowo i srebrzyście,
 Śnieg, śnieg na kryształowych trawach,
 Przeźrocyste laseczki i nici.

— Kto to wyrysował na drzewach
 Hieroglify pradawnego snu?
 (— Była raz, była za borami,
 Hej! za lasami,
 Bajka-królowna nad sercami,
 Hej! nad łzami, nad łzami —).

— Dotykam lodowych ścian,
 Są to, zdaje się, gobeliny;
 Wymalowano na nich białe drzewa,
 I jest daleki, bardzo daleki widok,
 Perspektywa niebiesko-srebrnej alei.
 Mógłbym krzyknąć,
 a zadrżałyby gałęzie
 — Patrzajcie! upadają perły,
 Coś migoce mi się pod stopami
 I trzeszczą tysiące iskierek.

Nie jest ani zimno.
 Ani też nie czuję zmęczenia,
 (— daleka droga przedemną i za mną —)
 Ni lęku.

A tylko jest strasznie pusto,
 Zimowa pustka łąz,
 Droga, na której niema nikogo
 I pewnie nikt tu nie przyjdzie.

— Są bowiem pokoiki zaciszne,
Białe dziewczę tuli główkę w fotelu
I rozumie, że ją otoczyły ściany,
Zaś na dworze i śnieg i zimno.

Przechyłasz dziewczynko jasną głowę w tył,
Pomyślisz trochę o kochaniu
I zamykasz, zamykasz powieki.
W pokoju jest rodzicielsko i ciepło.

— Otom zapomniał siebie.
Sądziłem, że droga prosta,
Zimna aleja drzew,
A oto teraz
Oczy łzami zachodzą
I naprawdę zapomniałem o początku —
(— Czy był Duch i trud,
Czy tylko była Muzyka? —).

— Liliowość osnuła mi duszę,
I ty przypomniałaś mi się
Moja cicha zimowa miłości
(— Drzenie całowanych rąk
I niepewność, co czarowała —).

— Miła, czy tobie już mówiłem,
Że smutek mój — — — — —

— Nie chciałaś, nie chciałaś słuchać, —
Był wulkan
Co wybuchał i palił —
A było to serce moje —
Czemu nie zagładnęłaś do krateru?
— — — — —

W koronkach śniegu
Gałązki, gałązki ze srebra
Zagubiła się moja myśl —
O Boże — szamocę się nadaremnie
Uwięziona gwiazda.
W aleji liljowe cienie

Ktoś zrzuca z gałęzi śnieg.

— Mgła mami —

Błękitnookie sarny

Snują się bezszelestnie z księżycą utkane i mgły

Niezaradna jest moja natura —

Kołysze mną błędność, kołysze —

Znowu pomyślałem o dobrej, jasnej i kochanej

Przecież to całkiem bezcelowo.

— Jest noc i bardzo późno

Nie wyjdzie nikt z za drzewa

Zrobiło mi się mroźno

Zamarzają łzy na policzkach.

Dunajów 2. VIII. 1920.

GDZIEŚ, JAKOŚ, KĘDYŚ...

Gdzieś, jakoś, kędyś, ni ztąd, ni zowąd
 Myśl ma na spacer poszła wichrowy
 Wiem tylko tyle, wówczas był zachód,
 Słońce fantazją wbiegło do głowy.

A za fantazją ma się rozumieć
 Musi być chmura zmienna na wietrze
 Seledynowe niebo jest tłem
 Na którym grają barwy najbledsze.

Czyli koloryt jest romantyczny
 I fakta muszą mknąć allegretto
 Coś dziać się musi naprawdę, naprawdę
 poeto?

Rozumiem ja was szklane bajeczki
 Co krążycie
 I tylko nie wyczuję tam pulsu
 I serca tego, co dał wam życie.

Jest może jakaś niedoskonałość
 Dusza się moja smutkiem ugina
 Och głębia jest strasznie ciemną
 A myśl splątana jak pajęczyna.

A tu by trzeba niechybną dłońią
 Wprowadzić na świat jakieś figury
 Dla każdej jakiś dramat obmyśleć
 I wiedzieć całą fabułę z góry.

Ot, dajmy na to, jest cud księżniczka
A po nią konni rycerze jadą
(Każdy koń musi mieć cztery nogi
A rycerz zbroję z całą paradą).

Lecz gdy księżniczka machnie opończą
A rycerz konia zje w galarecie
I z zewnątrzności zrobi się bigos
To z góry dobrze wiem co powiecie.

Sobie spowiada się moja dusza
Z dziwnie tragicznej drogi po linie
Ach każdy krok jest niepokojący
I coraz kres mój z przed oczu ginie.

Zakołysała się moja bajka
Tęczę kolorów błysnąć nie zdolna
Posłyszę jednak choć poszept duszy
Co się rozpręży, by wzlecieć wolna.

Hej migotanie i mgły i chmury
Potok bulkocze popod głazami
Może byłaś Ty? może znajdę kogo?
Jestem z wami i wężami i łomotami.

Łomoczą we mnie gwiazdy i słońce
Na nitkach uwieszane w przestworze
I czasem głowę słaniem rękami
Błyskawic Boże!

PRZED BURZĄ.

— Szepty utajone,
 Usta całowane,
 Szumią, szit...
 Niewidzialne szeleści na liściach
 Obudzone
 Duchy nieznanne,
 Cyt....
 Przez koronę drzew
 Sznurami spływają do mnie,
 Wichry, niepokoję,
 Sny,
 Suwają się mchy,
 Chodzą krzaki
 Szumi, szumi, szit
 Wszystko do mnie
 Wszystko do mnie
 Falą napływa
 Ze wszystkich stron —
 Drganie liści.
 Fala żywa.

— Spływają sznurami wrażenia
 Jest węzeł wszystkich nerwów
 I oko, co widzi wszystko
 I ucho, które jest lasem
 A w istocie jestem zupełnie osobno.

— Coś tli się w głębi
 Co nie jest ani mną
 Ni lasem, ani muzyką...
 I jest to wszystko i nic,

Ale wiem, że mieszka najgłębiej,
Schowane pod powłoką ruchu,
Za ścianą szeleszczących liści.

— Potrzeba sprężyć ducha
I zamykać oczy patrzące
I widzieć nie widząc nic.
I rozumieć to,
Co lękliwe i trzepotliwe
Wiruje dokoła mnie...

— Słyszysz? za liśćmi...
Schowało się pod mchy,
Pod nami, nad nami,
Szumi, drży...

— Wybiegło z głębi piersi,
(— może spłynęło z za chmur —)
I wybucha piorunem sił
Natężeniem woli,...

— Kto to?... co to?...

Boże!
Ty powiedz mi, bo dusza moja łaknie
I wyrywa się ku g ł ę b i,
Tam, gdzie schowało się to,
Czego nie widziałem nigdy,
I tylko wiatr
Pieścił nieznanne na liściach
I budził w duszy lęk....

— Szepty utajone
Usta całowane,
Szumią... szit...
Uskrzydłone sny,
Zapomniane łyzy,
Tęsknoty,
Skąd wy?... cicho...
Cyt...

— Pragnę otrząsnąć wszystko ze siebie...
Istotą dziwną jest mej duszy
Szukanie czegoś prostszego...

— Może się lękam
Mnogości grających barw
I dłonie mam za słabe
Na wszechogarnianie
I lży i trwogi
I dźwięki i szepty
I wszystkie krzyki wichru
Zamykam w jeden kojec,
Potem nazywam to głębią,
Albo istotą rzeczy
I tak chcę ująć wszystko...

— Gdzie, gdzie pójść
Wszędzie zalega mgła,
Splątała mnie gęstwina
I iść nie mogę dalej...

Wszystko inaczej się nazywa
Niż jest.
Nie pamiętam imion drzew
Nie wiem gdzie szum...
Gdzie wiatr, ...
Gdzie ucho moje i oko...
Kto zabrał moją duszę —
Wyteżam siły wnętrza,

— Zabierzcie mgły!!
Iść muszę!

W polu, pod Pasiekami
22. VIII. 1920.
J. F.

(— Z „DYALOGÓW“ —)

CIENIE.

Wędrowiec: Myśl mi się maści...Człowiecze straszny, czemu wprowadzi-
łeś mnie do tego pokoju?*Człowiek nieznany*: Gdybyś nie poszedł tutaj pozostałaby
Ci białość myśli.*Wędrowiec*: Lękam się świadomości pustyni...

Czy muszę tędy iść?

Czarne przesuwa się pod ścianami,
które są blade jak moja myśl...

Idę za tobą.

Człowiek nieznany: Posłuchaj!Wbiega za nami wiatr, co płynął
poprzez życie twoje przeszłe...

— Bór szumi, pachną pola...

Wędrowiec: Owiała mnie szczęśliwość dziecięca.

Ach, łzami dławią wspomnienia.

Muszę iść szybciej od wichru —

Człowiek nieznany: W ten pokój spłynie się wszystko,
Kolorowość przeszłości i parność
tajemna jutra.

Staniesz oto w obliczu potęg...

Wędrowiec: Ukaż mi je!Chcę poznać siły, co władną moją dro-
gą, a oto tylko drzę i powietrzna
niepewność mnie dusi...*Człowiek nieznany*: Daj dłoń, oglądnij się wokoło,
patrz, oto ściany drgają,

— po czterech rogach komnaty powstają cztery cienie i suną się wzdłuż murów.

Ruchy ich szybsze są z każdą chwilą i niewiadomo, co mają oznaczać...

Wędrowiec: Nie rozumiem niczego dokoła
W sekundzie jednej widzę dalekość
dróg i jasność duszy mojej.

A potem nie widzę nic...

Za każdym ruchem cienia tracę świadomość poprzedniego...

Człowiek nieznany: Myśl twoja zmienną jest jak cienie.
Popatrz, oto postacie cztery wychodzą
przez otwarte drzwi — i nikną
wszystkie cienie.

Wędrowiec: Czy wyszła z nimi część mojej duszy?
Ściany są strasznie białe i widzę tylko
pustkę.

Wytłumacz mi to wszystko.

Czy znajdowałem się pozewnątrz?

Czy był to tylko mój sen?...

Człowiek nieznany: Snem są słowa twoje.
Zgubiłeś myśl przez jedną chwilę py-
tania.

Wędrowiec: Aha! więc nie należy tracić czasu?

— Czyliż mam wierzyć każdej złudzie?

Człowiek nieznany: Należy rozumieć pragnieniem.
Wyrośnie z duszy twej owa przemożność
tęsknoty i może przez nią usłyszysz
szepotanie cieniów co straszą...

Wędrowiec: Człowiecze straszny!

Spojrzałem w oczy twe oczyma tęsknoty
i oto zobaczyłem mgłę...

— Dlaczego wyrzekłeś słowo „może“...?

Człowiek nieznany: Bo musieliśmy tutaj dojść.
Trzeba raz jeszcze skreślić wszystko
i popatrzeć na drogę naszą z po-
zewnątrz...

Wędrowiec: A... rozumiem zagadkę!...

M y jesteśmy dwa cienie i błąkamy się
szukając duszy.

Nie władniesz już ani ty mną, ani też
ja nie poprowadzę ciebie.

Człowiek nieznany: Kto kazał nam się błąkać...?

Rozumiem, że nie wyszliśmy z niczego.

Wędrowiec: Filozofując, przestajesz być cieniem.
Zmilknij więc!

Człowiek nieznany: A tak...?!

Musimy przejmować tajemnością...?

Stworzono nas, bo nerwy potrzebują
pokarmu...?

Wędrowiec: ...To może właśnie błysk...?

— a więc tajemność piękna...?

Człowiek nieznany: Zamilknij...!

— rozkazuje On...

jak lalki słuchać Go musimy...

Wędrowiec: Kto nakazuje milczeć

i cieniem być i żyć...?

Człowiek nieznany: Przeczuję Go, że jest...

Jest pająkiem i siecią, co nas oplata...

Ktoś szepnął kiedyś imię Jego...

Wędrowiec: Przez mą tęsknotę klnę cię:

powiedz, kim jest...!

(— ... czy Duch?... —)

Na pozycji nad Bugiem
8. IX. 1920.

LUDZIE OBCY.

Biała kaflowa ściana...
 Opieram głowę o kominiek...
 Jest pusto i cykają świerszcze...

— Droga...
 Przechodzi kilku ludzi...
 Nachyliła się obca twarz nademną —
 I smutny lęk zadrżał na moich wargach...
 — (— Oczy, złe oczy!... —) —

Otworzyłem szeroko źrenice...

— Nie łączy nas nic —

Samotny jestem i zmęczony....

Łuck 16. IX. 1920..

WIATRAKI.

(OPOWIEŚĆ).

Jest tu jakaś dziwna kraina wiatraków...

(— Rzesza, rzesza —)

Rozumie się, że musi być o niej baśń jakaś, jakaś opowieść...

Słowa — mgły w perspektywie pomarańczowych zórz...

Mgły — śmigi...

Mgły — babie lato...

Długie, niesamowite, smutne szeregi słów.

— Opowiem s w o j ą historię,

Może mieć tytuł: „Przygody w krainie wiatraków“ —

A właściwie zakołuje tylko myśl moja pod ołówkiem...

I śmigami w nierównym wicherze będzie się wznosić i opadać
tętno krwi mojej...

(— Rozumiecie? słowa — krew i nerwy,

Zobaczyłem liliowe pasy zachodu,

I we mgłach nad stepową rzeką urodził się smutek...

— Może to dusza słów...? —)

Powróćmy do krainy wiatraków...

— Jeden stał na wysokiej górze...

Nad rzeką w perspektywie siności strażowało pięć...

Szare, ciemno-szare, a każdy mniejszy nieco
od poprzedzającego...

A z drugiej strony była klekocąca rzesza.....

— — — — —

— Czemu te dwa wiatraki milczą?...

Naturalnie wyobraźnia jest od tego, by wymyślić obraz setki
tańczących między deskami szczurów, złamane śmigi,
młynarza, co się powiesił i t. d....

Poprostu jednak: były czynne,
— i były takie, które spały.

— Wiatraku pusty
Mówisz do mnie, jak ktoś, kogo nie znałem,
a przeczuwałem...

(— Może to niańki w bajkach...?)

— Aha! mówiły...

— „Było to raz...“ —)

— Zapamiętałem jeden dziwny szczegół.

— Nie z e w n ę t r z n o ś ć, moi państwo, nie obserwacja! —
Szczegół tych wyłącznie moich zaułków,
Mechanizm wiatraka mojej głowy.

— Oto:

Był to jakiś niezwykle lęk
Może zaciekawienie, może przecucie,
Patrzyłem szeroko otwartymi źrenicami,
A w piersiach łomotały się strachem stada
zamkniętych nietoperzy.

(— Doprawdy takie właśnie jest to uczucie —)

— Stał wielki, szary, ślepy,

(— wiatraki okien nie mają, —

— to dziwne —

— jak człowiek, który już nie potrzebuje spoglądać
w zewnętrzną —)

A ręce jego, zeszlę, szkieletowate deski podnosiły się w górę,

— Trzeszczące, klekocące —

— Nieubłaganie: na dół i do góry —

Popatrzcie tylko:

— Nie porusza tym nic,

Jedna za drugą — jedna za drugą,

Raz, dwa, trzy, cztery,

— i znowu dalej,

Same, niesamowite, klekocące.

— Jeżeli nie potrzebujesz spoglądać na mnie, czemu wołasz:
mnie niemem poruszaniem rąk?...

— Raz, dwa, trzy, cztery.
 (Klekocą deski, klekocą,
 Cicho staruszkę, przyjdą nocą
 Duchy z innej sfery,
 Twe dziady, ojce, matki,
 Zlecą się, skrzydłami załopocą,
 I znowu będzie raz dwa, trzy, cztery,
 Koła, pasy, belki, zwory
 Latają duchy, nietoperze
 Potwory,
 Cichaj, staruszkę!
 Ludzi będziesz straszył nocą... —)

Przetwarza się we mnie muzycznie nieuchwytnie uczucie lęku
 przed Nieznanem — w jakąś zagmatwaną grę pojęć —

— Patrzmy uważnie —

Może odkryję nic wiążącą...

— Tylko...

Jeśli to będzie przewinieniem...?

— Wobec kogo?!!

— Wobec królowej nad krainą, gdzie są szare, niesamowite
 wiatraki,

(— długie, długie szeregi —)

(— I smugi kolorowych światel o zachodzie nad srebrną
 rzeką —)

— Może to królowa mgieł —

(— Ale cud każdy — dla mnie przynajmniej — odbywa się
 za welonem srebrno-liliowych mgieł —)

Serce biło mi mocno, ale przystąpiłem do połamanych
 schodków, które wchodzi się do wiatraka.

— Oczu nie posiadasz —

— Ale jaka jest maszyna tego, który serca trwoży...?

— Dusza tego, któremu świat nasz już może być nie-
 znany i obcy...?

— O wichry, wichry moich gór!
 Uderzcie w palce moje roztęsknione
 Może się zbudzi i poruszy
 Przez nie melodia ruchu duszy,
 Rozpłomienione
 Symfonie barw na widnokręgach.

— Zamknąłbym oczy, jak szary, z desek sklecony wiatrak,
 I grałoby serce moje harmonią wichrów halnych i zórz —
 — O tęsknię za melodią ruchu duszy!

— — — — —
 Jakże trzeszcza stopnie tej drabinki,
 Niepewnym jest każdy mój krok,
 Ale spinam się coraz wyżej, by zaglądnąć za ścianę desek.
 Jest tylko jedno wejście.
 Przez ganek malutki u góry.

(— Jeślibym mógł rozważać, które z nich silniejsze, może
 już byłbym tam w środku... —)

— Cicho, on ciągle sam się porusza,
 Śmiga za śmigą,
 — raz, dwa,
 — znowu i znowu, — trzy, cztery,
 znowu i znowu, — raz, dwa...

Byłaby taka prosta rzecz pchnąć drzwiczki i wstąpić do
 wnętrza —

— Zagadko zamykanych oczu!
 I rąk poruszanych tajemnicą
 Znalazłbym może wyjaśnienie....
 Tyle, tyle dziwów...

— Oto jednak stoję smutny i zalekniiony i poglądam na szeregi wiatraków i na śmigi przecinające czarnością seledynowo-żółty nieboskłon.

— Nie załamały się przecie schodki.
 Ani też straszycło żadne nie wyskoczyło na mnie z wnętrza młyna...

Więc... — ?

Znowuż potrzeba szukać wyjaśnień?
 Na każdym kroku wstaje „dlaczego“.....

— — — — —

- Na Boga, precz, precz!
 Jak szczury, węże, nietoperze,
 Wypelza niepewność kątami,
 Gady idą na mnie od wiatraków...
- Makbeth!?... (— pamiętasz —)... co to?!
 Czworoskrzydła rzesza następuje,
 Idą na mnie drewniane potwory!
- Człowieku bez oczu!
 Po twoją chodziłem tajemnicę,
 Czego chcesz odemnie —
 Mściwy!
 (— za co?... —)

Oto wezbrały siły mej duszy
 I spinały się tam, gdzie schowała się tajemnica Ruchu —

Nie na mnie, nie na mnie!
 Czemu maszerujecie tak powoli, nieubłaganie...
 Zaduszają mnie szkielety waszych desek.

Przez oczy, przez moje niewidzące oczy
 Zaklinam was, stójcie!
 Kędy widzenie głębokie.
 Tęskniła moja dusza
 I moje ślepe, biedne oczy.
 Stójcie przez litość!
 Bo oto danym mi jest
 Mój Los do własnych dłoni:
 — Czy gonić hen, gdzie sen
 Do zapomnienia toni... —
 Czy....?

- Powolne są kroki wasze, szare, straszne, czworoskrzydłe
 potwory
 Ale słuchajcie mnie, wy bez oczu potężni:
 — Na duszę przysięgam, nie ucieknę!

CZĘŚĆ II.
FRAGMENTY DRAMATU.

PROLOGUS.

- A. Pójdź, pójdź... ze mną
 Nie oglądaj się na nich
 To wszystko tylko suchotniczość
 Staniemy tu i musimy tworzyć.
- B. Czekam co powiesz.
- A. Podaj mi rękę. Staniemy białe cienie na tle kotary
 ciemnej. Rozumiesz? Uwypuklimy siebie.
- B. Musimy z siebie dać ludziom
- A Nie, to nie tak,
 Nie zastanawiajmy się nad tem.
 To musi stać się inaczej.
 Oto: Myśl będzie w drgnieniach rąk
 Zobaczą ci, co czekają ukryci
 I pójdą za myślą w giętki taniec.
- B. Taniec nerwowości rąk?
- A. Tak, taniec moich nerwów
 Wystrzeli elektryczność Ducha
 Słuchaj, kotara pęknie
 I zobaczymy halę żywą.
 Jakże tęsknię za obrazem moich drgnień
- B. A jakże będzie dalej
 Gdzie się zakończy obraz
 Poczekaj na minutę logiczną.
- A. Nie.
 Zatęskniłem za moją prawdą
 I przeto wychodzę wam jako

P r o l o g u s

Mgławica czarnych ptaków
 Potrącanie nastrojonych strun
 Słyszycie burzę w tentencie rumaków

W czerwoności łun
 Pałą mi się łuny pod powiekami
 Ach poczujcie piersi mych nienasyconość
 Parność!

Jeżli nie zrozumiecie jej sami
 To szkoda słów

Bo to jest nieskończoność
 A tam za oknem mojego pokoju
 Ujada stado psów

One nie rozumieją mowy gwiazd i mocy.

P r o l o g u s :

Wyprężenie ramion, wołanie do boju
 Oto rozpoczyna się
 Szukanie

Przyjacielu! Czy chcesz być moją Arjadną?

B. Jak to?

A. Rzecz prosta, postaraj się o kłębek nici

B. (klaska) Prędko! podajcie mi szpulkę.

A. Jesteś praktycznie inteligentny,
 Będziesz mi służył za punkt oparcia.

B. Muszę ustawić być tak, by widzieć wszystko.

A. Otóż to!

Ty musisz widzieć wszystko!

Nie rozumiesz jeszcze swego błogosławieństwa.

B. Jakiego?

A. Że będziesz zdolnym stać na miejscu. Rzucę Ci trochę
 ocukrzanej ironii. Zazdroszczę Ci takiej zdolności.

B. Gdzie ironia?

A. Znakomicie!

Nie w Tobie, nie w Tobie!

To jest wir mojej głowy.

Ty masz siłę doprawdy.

Jesteś bardzo silny.

Moje przekleństwo, że to widzę

Ha, ha, ha!

Nie podałeś mi jeszcze końca nitki.

B. Pogubiłeś i siebie i mnie.

A. To początek będzie, to tylko początek.

Nie rozchyliłem jeszcze tej kotary

Bo to, co rzekłem, to uchylanie drobnych sekund,
Tysiące małych, czarnych kłapek
Pod każdą załamanie i lęk.

B. A za tą dużą kotarą

A. Tam może jest Godzina.

Może to jest wielka Godzina.

Czy rozumiesz, że napięcie można pokazać na palcach.

Ot, dotąd to było wczoraj

Ot takie teraz jest

Ale mogę przecie pokazać

Takie i także inne jeszcze.

B. A w przeszłości, czy masz miarę tego, co było?

A. Mam świadomość momentów pozgonnych

Ale gubię świadomość przeszłości.

B. To jest przesłepianie wartości.

A. To życie!

Kołysanie tysięcznych fal

Równoczesność w oddychaniu morza

Ogniki zorzy po wodzie

Ty nie rozumiesz tego

Nauczyłeś się stać na miejscu

I nauczyłeś się tylko mierzyć.

B. Panią nie duszą jest

A. Człowieka bracie.

Drgam od nadmiaru badania

Bo chciałem ukazać Ci duszę.

B. Malujesz zbyt poetycznie

Powtarzam Ci, że mam miarę pewną

Śmiech porywa mnie gdy kombinuję logicznie Twoją myśl

Ale oczy Twoje każą mi czekać w pośród napięcia

Masz w oczach smutek wielkości

A. Aha... przyznałeś mi coś

Kiedys zrozumiesz mą tragiczność

Wszystko mija mnie tylko

Mijają telegraficzne słupy

Mijają wsie, i pogoda i rosa poranna

I mijają mnie pragnienia tylko serca ludów

Jak sny! jak sny

Lękam się

Jak płyn, jak płyn

Przebiegam brzegi, fala za falą
 I ktoś nachylił jasną twarz nad strugą,
 I nie pochwycił obrazy załamane tęczą wód
 Oto tu rzekłem wam Prologus

I muszę dalej iść —

Ty daj mi nic —

I tylko w miejscu stój
 Przebiegnę tysiąc rąk
 Owiję lasy kolumn
 I pójdę coraz dalej
 Nie widzę nie widzę końca

Ty snuj mi nic

Bo może będę musiał wrócić

W lekkości słów

Zamykam mękę długich lat
 Gdy przyjdę ku Tobie złamany
 Nie zabij mię wzrokiem kata
 Błyskawicę, błyskawicę mi ukaz
 Uwierzę, że istnieją pioruny!

Idę uelektryczniać

Patrzajcie w moje oczy!

Oto wam byłem Prologus

I będę takim potem

Zasłon jest w głębi tysiące

I może jest wielka Godzina

Gdzie spali się nic

Tam wyteżajcie wzrok

Bo tam jest słabość moja

Patrzajcie, patrzajcie za nicią.

I.

(Ojciec. — Ja).

- A. Kogoś napotykam po drodze
 O. Ojciec Twój jestem
 A. A... Ojciec... więc... należymy do siebie
 O. Muszę ukazać ci świat
 Ukazę ci życie synu
 A. Naturalnie my łączymy się ufnością...
 Trzeba tylko patrzenia głębokiego
 O. Każde słowo Twoje śpi
 Błądasz się po krainie złości
 Muszę Ci oczy otworzyć
 Trzeba by słowa Twoje były biczami
 A. Chcesz mnie utworzyć żelaznym
 I Ty mnie to mówisz Ojciec
 Nie dojrzałeś napięcia duszy
 Życiem posiędę siłę
 — A może chcesz mnie mieć cyfrą
 O. Masz być jak zbudowany gmach
 Zobaczysz zło
 Murami odepchnij rzeszę
 Naród to praca i ból
 Podniosą się miliony czerni
 I zginiesz w igraszce urojeń
 Naucz się silnej ręki
 A także naturalnie dyplomacyi
 A. A... Dyplomacyi
 Powiedziałbym wam o...
 Tyle wieków kryje Machiavela!
 Dzisiejszy wiek jest milczeniem
 O. Nie nastrajajmy się na organowe tony

A. O tak ojciec wszak dziś powszedni dzień

O. Nie boisz się szarości

Ty....

A. Ojciec pożądam jednej drogi

Ot zwykłej miedzy wśród pól

A pola, pola nieskończone

Winniśmy i oczy mieć bez zakusów

O. Oczy Ducha

A. Ot tak piętno mej Woli.

Nauczmy się chodzić miedzą pełną

— Ukazać mi miałeś coś Ojciec

O. Tak, ludzi

O patrz!

(4 ludzi siedzi pod drzewami i gra w karty)

1) Godzina nasza, godzina nasza idzie gra

2) Na prawo ruchami na prawo moje państwo

3) Kołyszmy się moje państwo raz, dwa,

4) O, tak, musimy się pochylać

Głowa mi się kołysze

1) A teraz ruch poginania pleców

2) Kołem się ciało kołysze

3) Balansujmy, balansujmy towarzysze

4) Evviwa, Evviwa!

(nagle coraz szybciej i trwoźniej)

1) Wstawajcie, prędko wstawajcie

2) Uwaga, nadchodzą... oni

3) Hop, otośmy na nogach

4) Karty, trzymajcie karty

1) Ty masz czerwone figury

2) Czerwone figury, czerwone

1) Popatrz, biorę cztery asy

3) Ach asy

Wszystkie cztery asy

1) Dla ciebie czarne, liczbowane rzesze

4) Ach, tyle oczek, tyle oczek

O moje rzesze szarych punktów

1) Stawajcie, stawajcie za mną

2) 3) 4) Otośmy wszyscy razem.

O. Czemu przysuwacie się do mnie

Synu patrzaj na ich ręce

A. Ach... gdyby w dusze...

Czyli pożądacie jadło dusz?

1) Panowie podchodźcie pod nasze drzewo

(reszta) Tak, pod nasze drzewo przychodźcie

1) Panowie, zaniepokoiłiście nasze muszkuły,

2) Podskoczyły z murawy sprężyną

3) Nie chcemy waszych oczu

4) Patrzajcie tyle czarnych punktów

Jaka rzesza, o jaka rzesza!

O. Nie przysuwajcie się do mnie

A. Ludzie, jakie wasze imię

1) Imię?

2) Chłopcy, patrzcie, szarańcza, szarańcza!!

3) Towarzysze, coś poruszyło się pod nami

4) Rzesza, rzesza... mrugają oczy na kartach

(wszyscy) Dajcie ręce

1) Biegajmy tu

2) Słyszysz, szeleszczą papiery

1) Biegajmy tam

3) O Boże, drzewa się wałą

4) Coś będzie, gdzie, gdzie... ktoście wy

1) Czujecie, za włosy nas porywa

(wszyscy) Chrystusie, ratunku!

1) Ludzie! ludzie!

(nadbiega tłum)

Iz tłumu Dla was, dla was — tu zbiegliśmy

Tłum Oto jest nas tysiące rąk

1) Prędko, prędko

2) O bierzcie czerwone figury

Masz ty, masz ty i ty... bierzcie, bierzcie!

Tłum Cisza, cisza

Trzęsą się im dłonie

Cisza, cisza

Bierzmy karty z rąk

Cisza, cisza

Pobledli od trwogi

Cisza, cisza

3) O macie, asy, asy, asy

4) Rzucam nad głowy

Tyle oczu, tyle czarnych plam

Tłum Cisza, cisza

Chwytajcie karty

1) Wziąłeś, uciekaj

2) 3) 4) Uciekajcie, szczury pod nogami

Tłum Dygocemy jak liście

I z tłumu Uciekajmy!

Tłum Uciekajmy, uciekajmy (znikają).

O. Widziałeś?

A. Ojczce, natężają Ducha

Musimy za nimi pójść

O. Nienawiść buchała im z twarzy

Oczy były pijane

Widziałeś zielone oczy

Ręce od nożów i żagwi

Podsuwali się ku nam jak węże.

A. Ojczce, oni węzów się boją

O. Ciebie nazwałbym optymistą

Albo nazwałbym ciebie szkodnikiem

Ta rzesza chwyci broń

I tłum ten porwie władzę

Słyszałeś tajemną umowę

Widziałeś czerwone znaki

Co ci przyjdzie z ich obłądnych oczu...

— A możeś Ty mnie obcy...

Przecież my musimy myśleć wspólnie

— (To znaczy mogę myśleć tylko ja)

A Ty stanąłeś przeciwny

Patrzysz mi w kąty oczu.

A. O gdybym błysk zobaczył inny

Gdybym zobaczył łańcuch światła

Ojczce, oni byli trwożni

Ojczce, oni byli rzeszą błędu

Czy wiesz, jak walczę ze sobą

Ojczy!

Oto wstręt i mściwość

Więc Nienawiść?!

Czy mam ich nienawidzić

Bo teze mocne mam

I drogę widzę jasno

Powiedziano jest:

Druzgotaj Robaki!

Ojczy!

Jestem wahaniem

Nie mam, ach niemam złości

Czy potrzeba Miłości?

Jeżeli coś jest...?

Wyciągnąć iskrę z głębi

— Ojczy, czy mają Ducha?

O. Musisz się obwarować przed złością

No i naturalnie dla ludzi powinienes być dobrym

A. A...! więc przepaść?!

Gdzie zostawiłem ojca mojego?

Na drodze pozostałem sam, iść? dalej?

Kto obok? Moje tylko oczy...

Oślepnę wypatrując w dal

Czy użyczy kto mi oczu swoich

A może...

Gdy znajdzie się ktoś, co widzi... to wtedy... i...

...(myśl moja stała się widowiskiem...)

— Czy będę niepotrzebny...?

— Czy będę wtedy robakiem?

— Czy może przyjdzie ktoś czarny i powie na ucho słowa...

— Aha, rozumiem...

(ugiąłem się pod myślą

Stopień, i stopień drugi i dalej

Błogosławieństwo t r u d o m

Mam coś buntującego się

Cicho, cicho tam, pod piersiową klatką

Tu trzeba milczeć

— Kto to powiedział o Trudzie?

II.

(Odsłania się z lekka tylna kotara)

(Na górnym pomoście ukazuje się las tęczowo oświetlony).

A. O jak to dobrze
Przecie ja ukochałem las
Czy to było w duszy mojej
(idzie ku górze)
Dlaczego tu mnie nikt nie czeka?
Czy będę sam w wieczornej ciszy.

Koch. To ja wezwałam Cię z daleka
Słuchaj, tęsknotą las mój dyszy

A. Aha, ty jesteś serc muzyką
Ja ciebie raz zamordowałem

Koch. Pałałeś ongiś żądzą ducha
A dzisiaj mnie należysz ciałem

A. Kładę ci głowę na kolana

... Ukołysz mnie w liliowej ciszy

Koch. O to ja Tobie ukochana
Rozumiesz? Każdy liść nas słyszy
(Wierzchołki szumiących drzew u dołu)

... A. Fałszywym tonem las ten śpiewa
W zmorzonym takcie się kołysz

Koch. Miły, tęsknotą grają drzewa
Wytęskniam duszy Twojej ciszę

A. Nie chcę
Nie chcę

To wszystko twoje kłamstwo
Ton mojej duszy był inny
Zapomniałem ton mojej duszy

Koch. Szumią, szumią drzewa

A. Dlaczego ukryłaś mi moją duszę

Koch. Nie chcesz Harmonii?

Sięgnęłam do najgłębszych warstw

Oto dla ciebie prawdo

A. I zostanie tylko...

Koch. ...pragnienie

A. Czegóż tedy mam pragnąć

Koch. Lasu,

szumią, szumią drzewa

A. Las, to ty

więc zabierasz moją głowę

...jak pachną Twoje białe dłonie

Koch. Tam były róże u płota

A. Rwałaś?

Koch. Rzuciłam: na wodę

A. Oj wianuszku, wianuszku

Ukaż mi kwiaty na wodzie

Koch. Szumią drzewa

Słyszysz uderzanie fal

— A teraz patrz w moje oczy

A. O tak, widzę staw

Koch. Fale rzeki

A. O nie, ciemny staw

Nie porusza się nic w twych źrenicach

Koch. Ty wmawiasz sobie

A. O nie, zacynam odzyskiwać wzrok

To poruszałem się ja

O zatrzymaj, zatrzymaj mą duszę

Widzisz, musiałbym pójść

A nie chcę

Koch. Zostań, szumią drzewa

A. To nie wszystko

Ja widzę już

Oto się drzewa ruszają

Koch. Napłynię fala nowa

A. Nie, patrz odchodzą

...To jakaś dziwna pustka

Czem, czem wypełnić

Koch. Drzewa rozchodzą się na strony

A. Dziwny niepokój zaległ powietrze
Czy to może...

.

Bo wiesz, byłoby...

— Czy dogonię wzrokiem...

drzewa

Koch. A jakbym.....?

A. A może ty.....?

mówiłaś

Szumią, szumią drzewa

Czego mówiłaś

O patrz, tam tylko niebieskość

Jakieś błękitne dale

Powiedz, czy tam są gwiazdy?

Koch. A jakbym i ja...?

Słyszałaś...?

Szumią drzewa,

A. Otóż nie otworzyłaś oczu

Daj rękę, to nie było wszystko

Możesz iść

Koch. Czy będziesz żałował?

A. Nie wiem

Zobaczyłem ruch

O tam! odchodzące drzewa

Muszę żyć jak wichrowy las

Drganie milionów liści,

Widziałem załamanie półświatła

Koch. A światła?

Całe?

A. Ty możesz iść

Byłaś li częstką duszy

A moja myśl wzleciała

Tam gdzie jest dusza cała.

Ty byłaś tylko pojedynczy liść

Co śpiewa gdy go wiatr poruszy

A więcej byłaś mi nic.

Koch. O obróć się do mnie całą duszą

A. Przeszumiały już drzewa

Czyli przypomni mi kto słowo?

Koch. Gra....

A. Więc tylko gra?

A może moje kłamstwo

Pójdziemy ku następnej kotarze

Czy może to jest właśnie głos

Głos D r o g i?

DRAMAT.

SCENA I.

(*Panna Alma, lat 40, ślepa, Aleksander, młody, lat 20*).

Alma: Rzucamy po słów parę, szybkich, twardych
... Tak dziwnie jasno toczy się nasza rozmowa
Każda myśl leci ogromnie szybko...
Zaczęliśmy obojętnie...

Aleksander: Rozmowa nasza o rozmowie! —
— Tak powoli spoglądamy sobie w oczy...
Jak to dobrze być przyjmowanym wprost w ca-
łości
Nie słyszeć efektownych niepotrzebnych słów;
Do dyabła z morałem!
Ludzie siłą się, by coś mądrego na końcu przy-
lepić

Alma: Nie obawiam się nigdy bezmyślności...
— — — — —

O rzeczywistość, rzeczywistość
Gryzła mnie, bo zawsze żyłam swoją wolą,
Zanadto żyłam i dziś za silne mam wspomnienia
Czasem za silne...

Aleksander: Pani musiała trzymać życie w garści...
Mówi mi to już głos pani, ton...
Jest silny, twardy...
Głos wróżki Kassandry...

Takim głosem rozkazuje się i grozi
Alma: Takim głosem prosiłam i zebrałam
I nie słuchano mnie.
Prosiłam dawniej i oczami,
Które później zawarły się przed światem

— Ślepa jestem od 15 lat; — Wie pan...
 Że tęsknię bardzo do słońca, ale wstyd mi mówić
 — Teraz zaś chciałabym widzieć pana twarz
 Głosem wyrzeźbiłeś już swe rysy
 Pewna jestem, że światło potwierdziłoby.
 — Ubrałabym pana w czarny strój pazia
 Długie jasne loki... i luteńka
 I siedziałbyś malutki u mych stóp... i grał...
 Czy nie tak?

Aleksander: Nie!... To mnie nawet zasmuca
 Może i mam w sobie coś romantycznego
 ...Ale niechcę... to wszystko jest narkoza
 — Każde me pragnienie rwie się do siły
 Poprostu wstręt mnie bierze na myśl o roz-
 pieszczaniu się
 Ludzie powinni być jak miecze!

Alma: Ludzie powinni być jak kwiaty...

Aleksander: Ludzie być winni jak miecze i topory
 Błyskający wzajem ku sobie
 — Każde słowo to cięcie, każda myśl — iskra
 Szczęk i ścieranie się!
 Wszak to da uczucie siły

Alma: Zapala się małeńki...

Aleksander: Niech pani nie ironizuje...
 — Doprawdy... więc pani nie odczuwa tej
 lawy
 Co tylko chce bulkać, płynąć, pryskać
 Tej rozkoszy cięć i gromów?...
 Kiedy niema ni myśli o spokojności,
 Ni marzenia o jakimś „cichem szczęściu“,
 upojeniu.

Straszna i mocarna szczęśliwość!

Alma: A czy pan czuje co to rozkosz upojenia?
 Wszak nie można wiecznie walczyć.
 Każdy z nas jest tylko człowiekiem...
 Nadejdzie jedna wieczorna godzina
 Jeden złotokrwawy zorzy pas,
 I jedno zachodu rozmarzenie...
 — To wstanie wtedy druga dzika moc
 I pogrąży, otumani człowieka.

I wchłonie w państwo jedno tylko pożądania
 I wyciągną się ramiona chciwe
 I każdy nerw będzie krzyczał: Upojenia, upojenia!
Aleksander: Niech mi pani powie o swoim pragnieniu
 — Czy było ich w życiu mnogość, czy jedno
 — potężne?
 — Wszak pani czeka na to, bym poprosił
 Pani chce zrzucić coś z pamięci, z serca
 Pani wogóle chce mnie mówić wszystko —
 i będzie

A ja wysłucham i zrozumieję wszystko
 Nigdy jeszcze tak pewnie nie czułem,
 Że kogoś pojmem w całości, — jak dziś.
 Chodzę po piętach myślom pani
 I widzę, jak chcą być łapane...
 Ogromnie dziś silny stoję i jasno widzę,
 Panuję sobie i pani;
 Gdy zechcę wyłowię każdą myśl
 W mózgowych fałdach zaczajoną — wyrwę!
 Nie strzedz słów proszę — i mówić...

Alma: Ja pana nic się nie lękam,
 Nie lękam się gruboskórności jak u ludzi,
 Ni też potrzeby tłumaczenia się
 Pan widzi już bowiem wytłumaczone.

Aleksander: Szybciej niż błyski myśl za myślą goni

Alma: Widzi pan, ja kochałam kiedyś...
 Człowieka, którego mi pan bardzo przypomina,
 Miłowałam duszą i zmysłami...
 Byłam nader zmysłową...
 On... kochał nad życie
 Nie mnie!... lecz miłość moją...
 — Miłość moja była jego kochanką,
 a ja czekałam pod drzwiami
 Spragniona, pokorna jak niewolnica
 ... Skomlała o litość nad życiem.
 — Życie wyło o swoje prawa...
 — We walce z losem i cierpieniem
 Zapragnęłam rozkoszy bez miary... od niego...
 I wyzbyłam się wszystkiego dla niej.
 Chciałam uchwycić życie, niespokojne

I modliłam się, by on wyperlił je we mnie...

— On zaś... trzymał oczy na gwiazdach...
i śnił...

Nie kochał nigdy innej... tylko moją miłość
do siebie...

— I odepchnął gorące noce rozkoszy...

— Mówił, — że nie chce „mieć mnie na
sumieniu“...

— A żonę jego nie mogłabym nigdy być...

Nie chciałabym nigdy!

— I on mi złamał całe życie...

Aleksander: A dziś?

Alma: Dziś... jak dawniej...

— Tydzień jak otrzymałam wieść...

Zginał okropną śmiercią — — —

— — — Czy pan pojmuję ten ból?

To straszne, rozpaczne rozdwojenie...

Jeden niemy wyrzut... nie wyrzut — płkanie

Że był!... i że mi zabił młodość!

— Ale widziałam, że żyje

I myśli... ha ha,... o miłości mojej — sam...

I kocha ją, zawsze, wiernie... ha, ha...

Aleksander: O dziwna człowiecza naturo!

Tkwi w nas coś perwersyjnego;

Miłość swego bólu...

Dziś... znowu panią gryzie udręka,

Że zmarł, że nastał jakiś koniec,

Że może żyjące pragnienie uśnie i nie będzie
boleć...

— — — To właśnie potrzebuje pani rozżalenia!!

Więc mówię to... tak... uczuciom na poprzek

— Trochę ostrości nie zawadzi, cytryny...

kwasu...

— Sam biłbym się po twarzy za te słowa...

Bo nie poradzę temu chochlikowi

Co wciąż złośliwie i przewrotnie mi szeptce...

Alma: Panie Aleksandrze!

Aleksander: No nic, nic, dać rękę; ...pani czuje

Jaką ogromną życzliwość bym przelał

W jej serce smutne... by uciszyć ból...

— Pani chyba jest tego pewną!?!

— Chciałbym całą dobroć dać!...

Alma: Niech pan mówi coś od siebie, dobrze?

Każde słowo pana jest jasne

Tkwi w nich coś, co mi duszę wybiela

Aleksander: Nie umiem nigdy mówić pocieszeń...

Nie umiem gładzić... głaskać...

Za to zawsze... lubię mówić o sobie...

Muszę być strasznym egoistą... dobrze i źle
z tem...

Czasem nawet moim marzeniom „nie do twarzy“
w tej sukni.

Alma: To okropne musieć się czegoś wyrzekać...

A bywa jednak taki czas, że trzeba...

Aleksander: Posiadam w duszy bezgraniczną miłość dla
wszystkiego wkoło...

Ale nie umiem jej mówić...

Potrafiłbym śpiewać miłość własną...

— Proszę mnie posłuchać...

Bo przecież muszę to raz komuś rzec,

Przecież raz ktoś wysłucha i zrozumie...

— Śpi we mnie wielka duma

Duma... ze snu o mocy

Jak dumnym jest ojciec ze syna junaka.

Przecież ja muszę dojść do tego, co chcę. —

Czuję niekiedy przeboską potęgę!

Jak gdybym w ziemię wrósł, jak granitowe
szczyty

I hardo strzelał w niebo...

Alma: Pan bardzo dużo widzi...

Aleksander: Ja doprawdy widzę czasem dziwnie jasno

Proszę mi rzec, jest-li to widzenie wielkie, czy
marne?

— Trzymam dłonie na duszach ludzi...

I nic mi się nie kryje...

I czuję, że chwila nadejdzie, kiedy w ręce
uchwycę ich życie.

Owładnę! Pokieruję!
 Twardo... według swej samowładnej woli...
 Poprostu nie będę potrzebował patrzeć w nich,
 lecz w siebie
 Marzy mi się jakiś Cezar, Napoleon...
 Stałowe ruchy i piorunowe drgnienia,
 — Jak gdybym się opierał łokciami o globu
 półkule

I unosił mocarnie w zwyż...

Alma: Czyby pan potrafił być bezlitosnym?

Pan masz duszę miękką, dobrą...

Aleksander: Moja dusza jest tak zmięszana...

Nie rozpoznam w niej co silniejsze...

— Raz zda mi się, że potrafiłbym trutować

To znowu jedne smutne oczy i jestem inny...

Nader łatwo ogarnia mnie litość...

Alma: Może teraz także; pan na mnie patrzy

I wspomina znękaną, ślepą kobietę...

I mówi ze mną, choć radby leciał w świat...

— Nie chcę, by się ktokolwiek nademną litował!

Aleksander: Wiąże mnie tu tylko własna wola

Dobrze mi z panią

No...

Bo — przecież

Ha, prawda, mam słuchacza

Więc robię się głośny, szumny „wielki“

Wygadam, wypapłę górne słowa

I potem, zda mi się, że coś się stało

Że zbudowałem coś...

To przecież łatwo

Alma: Chciałabym jednak, by pan był myślą przy mnie

To znowu mój egoizm

Nie jestem chyba taka stara

Wogóle myśleć nie chcę o starzeniu się

Ja chcę z panem mówić, jak kobieta

z mężczyzną.

Niech się nie śmieje mały! wszak mnie wolno

Wie pan, co to kobieta Balzakowska?

— Pełna życia i siły... rozkwit mocy

Kwiat w gorącego lata rozkwicie...

— Niech pan nie myśli, że to autoreklama

Ja także prawo mam mówić co tajne

Aleksander: Przeklinam zawsze każdą myśl

Co z głupiego nawyknięcia lubi pluć w twarz
ludziom

Trzeba być trochę psychologiem

I umieć każdy odcień, dyssonans, uprawnić

Alma: We wnętrzu naszem wciąż

Zgrzytają dyssonanse

— melodia jest stłumiona

Aleksander: Cóż bruka te tony, co chcą się rodzić czyste?

Krzyk ich jest bolesny, przeto zawsze nazwę
je błękitnie.

Alma: Jednak nie chciałabym nigdy

Zgrzytu w stosunku do pana

Jesteś dla mnie czemś ogromnie promiennem

Przypominasz mi tamtego człowieka

Boję się, że będziesz nieszczęśliwy jak on

Nazywam go idealistą

Powiedzieć mi: czy może istnieć

Powtórzenie uczucia tego samego

A jednak inne?

Aleksander: Ja powiem to, że widzę

Jak do mnie pani się zwraca

I coś w mojej osobie jest co magnetyzuje

Alma: Powiem... lecz... Pan tego może nie zrozumie

Nie chciałabym by pan wziął to ze złej strony

Drzę i lęk uczuвам taki

Jak czułam tylko kiedyś, kiedyś...

Gdy marzyłam i wytęskniałam życie

Aleksander: Tak niedawno się znamy

Od pierwszych chwil oddychałem życzliwością

Chciałem życzliwości od pani...

— Jestem tu sam z moimi myślami,

— I widziałem, że mnie przyjmowano

Jak wielkiego, dobrego przyjaciela

Powiem także: uważałem drgnienia

I rozjaśnienia i uśmiechy i rozbłyski

Na obliczu pani, co smutek zawsze roni

Wiem, że ja byłem ich przyczyną

I wiośniano mi przeto...

Alma: Słuchaj, skończę, wypowiem.

Doprawdy... Kocham...

Ja nie wiem co to jest...

Ale Kocham...

Niech pan się nie dziwi

Niech pan nie usuwa rąk

Coś ze mną dzieje się niesamowitego.

Jakaś okropna walka...

Czy pan rozumie, że Kocham pana za tamtego
człowieka

Pan wie

Jakbyś był jego przedłużeniem

Ale nie... na Boga nie!!!

Niech pan nie myśli

Niechaj nie będzie cienia cienia wątpliwości

To jest całkiem inaczej — ja głupia...

Tu nie ma nic, nic nieczystego...

Wszystko będzie tak samo jak było

Tak już zrzucam ze siebie wszelki wstyd

Bo to przecie mógłby ktoś wyszydzić

Pan może nawet?...

Aleksander: Wszystko mi się płacze

W nierozzerwalny węzeł

Jakto można

Odrazu przejść od siebie do człowieka drugiego

Myślą wniknąłem cały w panią

Sam sobie znikłem

Alma: Nie... pan to zrozumie

Że nie ma tu nic zmysłów...

To mi właśnie

Daje ukojny, dobrotliwy spokój...

To ty... to ty...

Wybielasz i wyłącasz mi duszę

Mogę raz w życiu kochać zaświatowo, czysto!

Aleksander: Chcę, nadludzką siłą chcę...

Wykrystalic z siebie to czucie

Co gromuje we mnie i wrze i tętni

Przysięgam, przysięgam na duszę

Że skupiło się we mnie pragnienie

Złożenia siebie u stóp pani
 Być cegiełką dobrą
 Na gmachu spokojności
 Coś dać nie myśląc o sobie.
 Zupełnie się przewcieliłem
 I chcę otulić panią jasnością
 Pewność mieć, że jasnością jestem...

Alma: Dobry, dobry, dobry mój...

Daj dłonie... nie broń
 Ja nie śmiem o niczem innym pomyśleć
 — Ludzie i tak wyśmieją
 Boję się ludzkich myśli i ukłuc
 Boję się więcej własnych... pana

Aleksander: Nie mam nigdy zamkniętych oczu
 Rzuciłbym serce me — bo miłuję tragiczność
 I cierpię z tragicznością wspólnie

Alma: Bo czyż wolno istnieć nawet błyskom
 Nawet półszmerom myśli... innej...
 Tu... między mną a... tobą... u mnie
 Nie chcę, nie uniem... a jednak całowałabym
 Usta twoje do krwi...

Toby było jakieś nowe, inne całowanie
 Czy ja wiem...
 Ale to nic... nie, sam bez obaw przytwierdź
 Co myślisz... że byłoby to jakieś wiązanie —
 ofiara

Ja nie mam prawa niczego wymagać
 Życie twe świeże, porankowe,
 Ty świtasz — ja zachodzę... Co za zgrzyt
 — Pan milczy?

Nie chcę nic innego, jak to co jest
 Boję się, byś nie był innym niż dotąd

Aleksander: Nie umiem być zdawkową monetą
 Wstydzi mnie ból człowieka przyjmującego ją
 Więc nie potrafię dawać jałmużny.

Alma: Pewna jestem szczerości...
 Pan zawsze mówi prosto...

Aleksander: Czasem uderzam przyostro
 Natura się ducha przeciwi
 I muszę chować brzeszczoty

Co tną... A to trochę dusi...

Alma: Otóż to... wiem dobry
 Co myślisz... że to kłam
 Co powiedziałam, że jest coś innego
 Co nie powinno być... nie powinno...
 Wierz!... to prawda!!
 To taka najświętsza rzetelność
 Pragnienia duszy, płaczu
 — Ja ram nie pojmuje dobrze
 Zbyt jeszcze jestem kobietą,
 A to już winno przeminąć,
 Bo to byłoby potworne...

Aleksander: Na Boga! pani Almo!
 Zobaczyłem, przejrzycie wnikiem
 Ta straszna bezdenność!
 Muszę... nie cierpię połowiczności
 Powiem bezlitośnie, rąbiąco
 Bo uprawiam wszystko...
 I to co się kryje tajnie... przecie chce żyć
 I wolno mu...
 W zmysłach tkwi orkanowy pęd
 I każdy bije w niebo o swe prawa krzykiem
 Grożeniem..., co chce fatalność zagładzić
 I żyć...

Alma: Okłamać siebie nie próbuję
 — Los... życie się potoczy
 A ja zostanę z cyprysami

Aleksander: A za co?
 Komu wolno było podeptać człowieka!
 To pytanie maści mi mózg?
 Dlaczego?
 Jaka potworność wypiekielnia to zepchnięcie
 Potrącenie człowieka w przepaść...
 Bo przecie moja droga inna
 I idę sam... i siebie dać nie mogę
 By zapełnić życie pani
 Bo idę mojem prawem!
 I chcę zdobywać...
 To są mrzonki i zdawkowość
 To — cośmy mówili to złuda.

Alma: Nie... tak jest... tamtego nie ma
 Bo być nie śmie...
 Wszak przecie mogę kochać czysto
 Niech pan nie odrzuca zbyt pochopnie
 Bo to także moje prawo

Aleksander: Ja tutaj z duszy dam żal
 Dam litość i współczucie
 Ale widzę, że to nie wszystko
 — A przecie nie mogę być pani mężem ani
 kochankiem

Alma: Panie!!!

Aleksander: Tak... bo, by ukoić duszę
 Trzeba jej drugą cisnąć całą
 I rozkosz musi być w ofiarowaniu się

Alma: Wszystko z rąk mi ucieka.
 — Wszak może tak pozostać?!!
 Kojącą jest dla mnie ta straszna szczerłość
 Bo tak nie daje się żadnej jałmużny
 Wszak tak trwać może jak było...
 Wyczuwać chcę zawsze tę życzliwość
 I więcej nic
 To będzie strasznie dużo

Aleksander: Więc mam patrzeć...
 Patrzeć na przesądzoną walkę
 I na zatłumianie sobości u pani
 Patrzeć i milczeć?

Alma: To już przeszło...
 Pan wyrwał ze mnie to co się rodziło
 I wyboleśnił utajony żal
 A teraz chcę tej dobroci co napływa
 — Pieszczotliwemi falami słów,
 Słów grających, otulających
 Słów pana... dobrych
 Bo wiem, że pan czuje i rozumie
 — Nawet to, cobym nie chciała

Aleksander: A ja z tem — pozostanę taki sam
 Tylko dławi mnie myśl
 I od dziś będzie mi parna chmura
 Że jest około mnie smęt...
 I jest przezemnie ból

Że przez to już zadaję rany, że istnieję

Alma: Przesubtelniasz, filozofujesz

Aleksander: Poco naszedłem na tę drogę . . .

I muszę być kamieniem co cięży...?

Jakaś fatalność rządzi nami

I każe mnie, co wyolbrzymić chciałem

współczucie

I dobroci ofiarować pani kojenie

. . .Każe zalegać oparem i dusić

I muszę być pani trucizną i rozpaczą

I beznadziejnym wołaniem w Otchłanność

I żalem za własnym Życiem

Co uciekło . . .

Alma: Zamilknij, zamilknij, już nie wiem nic

I nie czuję nic . . . i nie chcę . . .

A tylko to, że kiedy jesteś . . .

To jest mi jasno, cicho, dobrze

A gdy Cię nie ma rozpacznie i czarno

I ślepo . . . podwójnie ślepo.

Aleksander: Dać ramię proszę, pójdziemy

O tak . . . powoli . . . krok w górę

— Tak przesłoniło się niebo . . .

I barwy zasypiają już . . .

Alma: Zawiała cisza wieczoru . . .

Aleksander: Górzyska milczą, ogromne

I patrzą w nas ciemno-niebiesko

— Gdyby pani mogła widzieć te kolory

Zagram je potem pani

Chopin ma takie kolory zachodu.

Alma: I jutro przyjdziemy tu także . . .

Dobrze? — pan będzie chciał . . .

Usiądziemy naprzeciw gór

Aleksander: I ja opowiem baśń . . .

Alma: I znowu nadejdzie zachód

Aleksander: O siwym królu skał

Alma: Blaski wystrzelą i zapadną

Aleksander: O królu co był mocarny a tajemniczy

Alma: I znowu poda mi pan dłoń

Aleksander: Czy chce pani bajkę o królu gór?

Alma: I znowu razem pójdziemy przez las

...Będzie świeżo i kolorowo
 I dzwoniąco
 ...Jak hala kiedy powracają stada
 I naprawdę, naprawdę, będzie
 mi dobrze znowu,

Aleksander: Opowiem pani baśń.....

SCENA II.

(*Aleksander* – *Cynthius* (przyjaciel) — *Pacholę*).

Cyntius: Dzień dobry, stary przyjacielu

Aleksander: Dzień dobry, skąd idziesz?

Cyntius: Szukałem ciebie, chowałeś mi się
 Dawno twojej ręki nie ścisnąłem

Aleksander: Potrzebuję twego oblicza śmieszku
 Pamiętasz wspólne wybryki

Czuję, że często potrafię się śmiać jak pierwiej

Cyntius: To ci dobrze?

Aleksander: Ano... tak bywa...

Czasem jestem wybuchowo ochoczy
 I wtedy śmiałybym się na całą pierś
 A czasem... poskrywane karty
 Kolą w wątrobę i nerkę duszą

Cyntius: O mistrzu samoprzypiekania!
 — Winienesz być krawcem i nicować dusze...
 A zresztą z jednegośmy cechu
 Powiedz mi co tu robisz?

Aleksander: Buduję... uciekłem tu
 Wybuduję coś dla siebie... tu...

Cyntius: Przedczemżeś uciekał?

Aleksander: Goniłem sam siebie
 Goniła mnie też męka człowiecza...
 Rozumiesz ty mnie... tworzyłem mękę
 Młotem były moje słowa
 Bo umiem tylko słowa twarde jako stal
 Chcę szukać prawd tak mocnych jak granity
 I przeto kuję młotem

Znasz ty mękę uderzania o serce?
— Tryskała krew i łzy...

Cyntius: Przed krwią i łzami uciekłeś?

Aleksander: Nie!... Tu obłądność moja
Zatrzymałem toporowe błyski...
I szukałem skrzydeł by otulać...
Zaprzagnąłem wypić łzy i krew
I powiadałem baśnie...

Cyntius: I przepomniałeś prawd co ukryte...
— Baśń to przedziwna kołysanka...

Pieśniane kolory i dźwięki
Zatłumiają krew co krąży,
I smęt wskrzeszają, co usypia

Aleksander: Nie mogłem duszy zamknąć w bajce
Słowa rwały mi się i marły
— Nie potrafię milczeć, gdy coś widzę
Nie potrafię milczeć wobec człowieka,
Człowieka, co godzien imienia
Coś mi każe wtedy mówić S o b i e
I sięgać dna...

Mnie zbrodnią zda się nie wyłuskać prawdy
Gdy godna i kiedy potrza

Cyntius: A cóż ukaże, że potrza?

Aleksander: Pęd! Od bezdni ducha pęd
Co obudza wrzenie

I wszystko wznosi się ku krtani
Kiedy ma pierś — ujścia szuka w słowie...

Cyntius: Co widziałeś, powiedz

Aleksander: Nienawidzę
I lękam się i pogardzam słowem

Co błahe, gwoli ciekawości
Mówi o wielkiem

Nie pytaj jak... ciekawy

Bo zmilknę,

Bo się ulęknię,

By nie paplać, jak o sensacyi

I bezcześcić cierpienie człowieka

Cyntius: Ach, otbyś mówił z prosta

Toż przecie i sam pragniesz

Bratniości ze mną

— Co z romantycznych głów
 Wylęgło w ruch, to uznam
 Bajaj mi twoje zjawy
 — Powiesz, że to życie — wierzę...
 Życia się w meandrach nie szuka
 Ale poezja bywa kraśna, więc ją lubię

Aleksander: Potrzeba patrzeć w człowieka
 I sięgać w tajemne głębie
 Widzi się dużo barw
 A czasem rozpacz bez kresu.
 Jaka to okropna nasza słabość
 Widziałem miłość i ból
 Widziałem czepiające się mnie trwoźnie dłonie,
 I znałem wszystko i czułem
 A nie mogłem wyciągnąć ręki
 By podnieść bolejącą duszę
 I dać spokojność —
 Coś nas wtrąca
 Jakaś bezlitosna moc
 Zaplątuje ludzi o ludzi
 I potem sznury szarpią i kaleczą
 Albo krępują powieki.

Cyntius: Słyszałem... amory starej panny
 Co zapragnęła efeba
 — A efeb woli w świat
 I szuka rusałki
 Naturalnie tamtej gorzko w gębie
 I płacz
 I histerye i dramatyczności
 I połamane życie i „czar niepowrócony“
 — To wyuzdany snobizm.

Aleksander: Ty kłamiesz
 Ty masz podwójne myśli
 Moim podobne
 A to co u mnie rzetelne, to taisz
 A gadasz, co wygnane i złe
 — Poniechaj mnie i milcz
 I słuchaj:
 Miłuje mnie tak
 Jak kocha się raz tylko i umiera-

I czuje jak idę wolno sam
 Jak zostaje opuszczona na uboczu
 Bo wszak muszę iść, gdzie droga mnie
 — Widzę ból kobiety co gaśnie
 I co zachodzi, gdy dusza rwie się, by żyć
 Kobiety, co wiecznie ciemna
 Choć duszę ma zdolną pojąć co jasność
 I krzyczy o szczęście.
 I okłamuje siebie
 Zgłuszyć chce zmysły, co kipią
 I chce chcieć tylko duszy mej
 — — — — — — — — —

Cyntius: A ty korzystasz
 I nadobłoczne uprawiasz bujania
 I nurzania się w idealnościach,
 Słyszę wasze wybladłe rozmowy
 Wasze wycielęcone w niebo oczy
 — We wszystkim „piękność“ i „duch“
 I dziwaczny zakrętas myśli
 Tumanienie się wielkością, głębią

Aleksander: Było coś niesamowitego
 Coś skamieniającego duszę
 W ostatnich naszych rozmowach
 — Nie wolno mi było uderzać
 Tam, gdzie tryskała krew i łzy
 I powiadałem baśnie
 Omotałem się perłami, gwiazdami, złocistością
 Aby muzyką być, co koi
 I słuchała mnie taka cicha
 Taka zapatrzona w dal matowemi źrenicami
 Co nie widziały mnie nigdy
 Twarz jej smutna była jak noc
 Dłonią szukała mych rąk
 Chciała do ust podnieść i całować
 Wiem, że słyszała to, co nie mówiłem w bajce
 Pieśń grała w górskim wieczorze
 A myśli me ukrywane
 Padały tajnie na serce jej jak ołów
 I okuwały rozpaczą
 A ja dławilem się

I szedłem w Niż

Zgubiłem siebie w baśni

Cyntius: Potem się zabawa znudziła

Wyczerpały się słowa błyszczące

Kolory przybladły

I trzeba było kryć lub pokazać pustkę

Troszeczkę by było wstyd

Więc nogi za pas i w świat.

Aleksander: Jest w tem szyderstwie

Coś tak małego, że odpada w proch

Nie dotykając duszy człecznej,

Duszy, co pragnie rzetelności

— Stałem oto tu silnie

I buduję gmach

I wyteżyłem wszystkie moce

I rozkosz czuję w natężeniu

— Tylko czasem w szarej ciszy

Usiadam tu na wyniosłem kamieniu

I patrzę w dal

Widzę zachodu krew

I słyszę wtedy żalność

Co leci na skrzydłach żorawi

Z daleka, z daleka —

— Za okrągłością horyzontów

Widzę świat, co pozostał we mgle

Pamiętam duszę, co została samotna

I rozpacz, co drogi nie widzi

— Wówczas wyrzucam z pod serca moje czucie

Zaklinam w słowa i ślę gołębiem

Kobiecie w czarnej sukni, która płakać już nie

potrafi

Bo łyzy zamierają w obłądności

Ale nadchodzi świt

I dłonie się wznoszą do pracy

Buduję, buduję gmach

Cyntius: Zagubiłeś się w krainie baśni

Aleksander: Wyszedłem w świat

I szukam prawdy

To me przekleństwo, że szukać muszę

I moje szczęście, że wiem to

Coś mnie gna
Przez ludzkie łyzy
Przez swoją zgwałconą spokojność
Hen w świat
I przybyłem tu
I buduję

Cyntius: Nastawiłeś budulca moc
Marmury i cegła
I granit i belkowania drzewne
I kłód dębowych sporo
I kruszec
Co pobudujesz?

Aleksander: Nie wiem
Czy będzie chata, czy dworzyszczce
Czy wieża, czy mur, czy grobowiec
Czy tum głęboki, czy Panteon
Czyli też wietrzny szałas
Nie narysowałem planów
Nie wiem czy dźwignę te bloki granitu
Czy wytrzymają drzewne pnie,
Ale wiem, że muszę...
I że wybuduję

Cyntius: Prężysz mięśnie
I pot ci spływa z czoła
— Daremna to może praca
Będziesz pracował rok, dwa, dziesięć
A tu otworzy się torfowisko
— Widzisz bagniste łąki
Pogniją drzewne pnie
Usunie się granit, zachwieje
I wszystko runie.
— Ja jestem błazen
Co pluje sobie w pysk
Usiadłem sobie na kupce gliny
Niewielką stawię lepiankę,
— Bo i cóż
Złota ni srebra nie kupię
By większy ozdobić gmach
I stałby pusty...
Nadejdzie szarość dni

Przewieje wiatr po pustych komnatach
 I uczyniłoby mi się próżno w wielkim gmachu
 — Wprowadzę żonę w dom
 Nie będzie królewną ni rusałką
 A zwykła sobie dziewczyna
 Cicha, poczciwa
 Ot zagłupiona w poczciwości
 I matką będzie i służącą
 I zapłaczą po kątach bachory
 I rozlezie się brud, dym
 — To właśnie dla chaty kurnej
 — Pałacom trzeba królewny
 I trzeba królewicza.

Aleksander: Zmilcz, ach zmilcz
 Czy pojdziesz, że w mojej myśli
 Nie żyje nic takiego
 To dziwne, ale nie patrzę tam
 I nawet nie uznaję
 Wyróżowiłem wszystko
 I to jest cała moja rozkosz
 Uchwycić swoją moc
 W momencie jasności i iść
 Jakby nie było posępności
 Jak gdyby małość zczeszła
 Bo słysz...

Marzą mi się dziwowiska
 Co idą na mnie...
 I wiem, że moc się rodzi w ciosach młota
 I moc ta będzie moim gmachem
 Czuję rośnięcie sił
 I nowej krwi przyływy
 Po uderzeniu każdym.

Cyntius: A przyjdzie kiedyś dzień
 Oblędowy, czarny, posępny
 I przyjdzie ktoś, coć powie,
 Że złudą jest twa siła
 I kłamstwem cała budowa
 I uwierzysz.

Aleksander: Na Boga nie!
 Ujrzałem w myśli gmach

Jakiego miasta nasze nie znają
 I ujrzałem moc, co się zrodzi
 Czyż wolno mi
 Spoglądać za się, w tył
 I wstrzymać dłonie robocze?
 Żali to nie byłoby zbrodnią!?

Cyntius: Myśli me zasnułeś tumanem
 Chciałbym kąsać ciebie i siebie
 I nie zdołam już
 Jakiś wiew
 Zaleciał ku mnie z wyżyn
 I ulęknęłam się go i milczę...

Aleksander: Przecie ty widzisz go
 Widzisz zaklęty pałac
 Gdzieś na dusz dnie
 Przecie go widzisz...?

Cyntius: Z myśli mych
 Szatan rozpętał zawieruchę
 I kręci, kręci wir

Aleksander: Cyt... powiem ci
 O mej tęsknicy
 Ale to mnie już ból
 Że myśl po swoim błądzi
 Nie umiłuje tej
 Co została rozpaczna
 Nie chcę być człkiem bez serca
 Ale moja tęsknica indziej

Cyntius: Powiedz mi, kędy jasność życia?
 Powiedz mi, że nie wszystko moc
 Że pożądamy też słabości
 W upojeniu?

Aleksander: Mam grajka tu
 Pacholę, co na fletni gra
 Przychodzi tu co wieczór
 I gędzi...
 On powie ci
 Wyśpiewa niepokój i tęsknicę
 To coś, co walczy z mocą
 To znów ją wspiera

Cyntius: Zawołaj go

Aleksander: Nie, on nie przychodzi
 Gdy się go woła
 I nie śpiewa, co mu się każe
 Trzeba sięść
 W milczeniu zadumanem
 I czekać
 Wtedy pojawia się i gra
Cyntius: Czekałmy... cyt
Aleksander: Taka jest zmienna obrazowość
 Mych czuć
 I moich myśli krynica
 Że cisza mnie przyobleka
 W zadumę barda, minstrela
 I dusza śpiewa pieśń.

(*Pacholę gra.*)

1.

Dzwoni, dzwoni chór
 Pod fletnisty wtór
 To ptaszęcy złata rój i gra
 Wschodzi, wschodzi świt
 Świergot polny... cyt
 Coś szemrze, coś skrzy, coś drga.

2.

Rozplatałam włos
 Moich złotych kos
 Wytęskniałam i wołałam w świat
 Przyjdź! spłomienim żar
 Chowam dla cię czar
 — Przyjdź, byś ustom pocałunki krał.

3.

Koń mnie niesie w bój
 Jam Twój, Jasna, Twój
 — Na szyszaku Twój powiewa znak
 Wróć, przyjdzie kres
 Lęków, tęsknic, łez...
 Oplot rąk Twych wygna Smęt i Brak.

4.

Zgasł cud blasków, zgasł
 Oposepniał las
 Ktoś po boru chodzi w noc i lka...
 Plótl ktoś baśnie, plótl
 Zmiótl coś wicher... zmiótl...
 A ktoś potem śmiał się ha, ha, ha...

Dobranoc mili panowie — dobranoc
 Idę do mojej Pani Wróżki,
 Opowiem, jak siedzicie niemi na rozpoczętych murach
 I patrzycie w niebieskość wieczoru, w której nic nie widać
 Będzie się śmiała z was moja stara Pani - Wróżka!

SCENA III.

(*Aleksander — Hennilla*).

Aleksander: Przychodziłaś tu o świtaniu
 I patrzałaś długo
 Jak urastały mury
Hennilla: Przychodziłam po serce Twoje
Aleksander: Zabrałaś!
 Uniosłaś po wieki
 I promieniami spłynęłaś
 Na mnie — kocham!
Hennilla: Wytęskniłeś kochanie?
 — Zabiorę cię ze sobą
 Ku słońcu pójdziem miłośnie
 Ku samotniom
Aleksander: Daj dłoń
 Pozostań tu
 Nie znikaj z oparami
 — Ja wybuduję pałac
 I osiędziem
Hennilla: Nie! jam wolna jak ptak
 Nie ostanę tu ni nigdzie

Pójdiesz ze mną
 Słuchaj
 Chceszli mnie mieć
 Miłującą i miłowaną
 Pozostaw budulcowe gruzy
 I chodź.

Aleksander: Narzuciłem głązów tyle
 I piąłem wzwyż
 Przecz nie ostaniem tu ?

Hennilla: Zamilcz
 I posłuchaj mych słów:
 Masz porzucić kraj
 I przepomnieć plany budowy
 Dom nasz
 Nie może ni chwili stać
 Na czarnej ziemi
 I zamierać w bezruchu
 — I chcesz być mój
 To hartuj serca stal
 I pozbyj wszelkiej myśli
 O tem, co przeszło
 Lub co żyje i kołacze do piersi litością

Aleksander: Ulituj się Ty
 Zapomnieć nie zdołam
 Ujrzałem objawienie człowieka
 I umiłowałem ludzki ból
 Przezemnie cierpi ktoś
 Co kocha i duszę ma jasną
 Kobieta, której dłużen jestem dobroć
 I otulenie skrzydeł kojących
 — Myśl ma się nie sprzeniewierzy
 Owemu ofiarowaniu z ducha.
 O Jasna, jam Twój cały
 Buduję przez Cię i dla Cię
 I dla Ciebie rodzi się we mnie wszystko
 I myśl i sen i czynienie
 I wyolbrzymianie w sobie czuć
 — Pragnę ubogacić duszę
 by mieć wielką i królewską
 I mówi wewnętrzny głos

Bym czynił sercem
 — Więc i serca kawał
 Czystymi dłońmi uświęciłem
 Onej, co płacze
 — Bobym się musiał łamać
 I zagnębiać jasne czucie
 By pozostawić oną samotną
 Bez życzliwości, co koi rany
 I wiedz
 Że to także przez Cię i dla Cię
 Bo to rozświeca mi duszę
 A dusza ma Twoją jest
 I tęskniłem zawsze przeczuwając Cię
 By dać ją w ręce kochane
 I stracić na wieki przeszłość
 I odrodzić się na nowo razem

Hennilla: Nie

Słowa moje są krótkie
 Nie będę tłumaczyć mych słów
 Odchodzę.

Aleksander: Pozostań

Twojem jest wszystko
 Nie wkładaj sercu gwałt

Hennilla: Zostaw tu litość i żal

Przepomnij pałaców
 Chodź!

Aleksander: Co w duszy żywie

I co się wzmaga, to nie zamrze
 Ostawię gruzy te

I podwaliny

I nie wspomnę nikogo

Zrozumiałem zagadkę wewnątrz

I uniosę skarb

Dla Ciebie Jasna

Idziemy, idziemy w mgły

I w kolorowe pachnące łąki

Kocham, pójdź

Hennilla: Posłuchałeś słów

Daj rękę

Obieźmy lekkimi stopy

Aleksander: Idę, lecz zostanie zagadką
Tobie ciemną i tajną?
— Tam, kędy czułem granice
Otworzył mi się nowy kraj
I oto w chwili tej
Dowiedziałem się, że jestem jego królem.

Hennilla: A ja czy będę tam panią?

Aleksander: Daj ust, daj

Hennilla: Twojam jest królu drogi
I królowania pragnę

Aleksander: Weź!

Sama poszukaj berła i korony
I otwórz bramy grodu
Bo nie zagaśnie ma tęsknica do dna
Ramieniem Cię oplotłem
I pójdziem

Hennilla: Nie spojrzysz na Twój gmach
I nie pożegnasz?
Strawiłeś lata długie...

Aleksander: Pójdziemy drogą prostą
Światłością spłynęłaś na mnie.

SCENA IV.

(*Cynthius — Panna Alma.*)

Cynthius: Pani się zdziwi
Przychodzę mówić o A.

Alma: Pan coś wie?...
Pan jest przyjacielem
Pan mnie zna?

Cynthius: Słyszałem... więc przychodzę
Bo wiem, że pani czuje z nim, jak ja...
Pewnie silniej...

Alma: To przykro... głupio...
Ja nie chcę, żeby pan coś wiedział!
Chcę zostać samą!
— Czego on mówił panu o mnie!

Cynthius: Mam swój wzrok... dobry...

I słowa, które dopowiadają resztę
 Więc wiem...
 Chciałbym także być człowiekiem miłującym
 I przychodzę jak do przyjaciela
 Uprawniając się sam — —

Alma: Witam pana...

Pan coś wie, pan powie coś o nim
 — Wyczekuję wieści niecierpliwie
 Bo... ukochałam jego duszę...
 I pragnęłabym dużo jasności dla niego w życiu
 Dużo dobra
 Otrzymuję od niego listy
 I wiem, że jest teraz szczęśliwy

Cyntius: A tak...

Alma: Jak on się rozplómił w słowach
 — Pisz jak człowiek, co dzieli się szczęściem
 Bo nadmiar rozsądza mu pierś.
 Widzę jego orłowy lot...
 Jak rozpina skrzydła ponad skały
 I leci muzy własnej na uciechę i wichrom
 I nie zna kresu

Cyntius: Otóż to, że ja ten kres widzę,
 I o kresie pragnę pomówić.
 — Pani widzi to zbyt poetycznie
 Tak, to jego kryształowy pryzmat
 Którym rozstępca sobie wszystko
 I innym ukazuje blaski...
 Tu jest dosyć gruba poza
 Ot... lgnie ku sobie młodych dwoje
 Zawodzi go w błękitny dziewczucha
 Która, by prawdę rzec, jest szkodliwa

Alma: W niej duszę swoją odnajduje
 O tak!!! Bo porzuca zbudowane
 Bo zapomina zamierzonego...
 Bo gubi to, co w nim jasne było —

Cyntius: Aby pewnego dnia, kiedy czar zwiędnie
 Obudzić się i dostrzec pustkę
 — A serca zatracenie...?
 Wszak pierwszą panią musi boleć to
 Że... —

Alma: Zamilcz pan!
 Odemnie wara!
 Od moich czuć i myśli!
 Niechcę, niechcę nikogo,
 Nikt nie śmie wtargnąć,... i podpatrzeć
 Odejdź pan... nie... mów —
 Co zrobić ma człowiek, który kocha
 Co zrobić ma matka... lub siostra
 Tam, gdzie grozi zło...?

Cyntius: Mnie coś szepce
 Że jestem stróżem jego duszy
 I winienem baczyć, czy urasta moc
 — Bo jego dusza jest wielka
 I za to kocham go... i podziwiam
 I wielkim jest jego wzrok!
 Wejrzy w głębinę...
 I wydobędzie perłę z dna... —
 — On widzi wszystko...
 Widział... —
 I swoje stawiał gmachy w drodze ku słońcu wysokie

Alma: Ach... niech będę zła...
 Niech będę panu niska i przyciemna
 Ale powiem...
 Powiem to, co mówi we mnie kobieta
 I moja wola życia
 Mnie zabija!
 Mnie dusi i trątuje ta moc
 I ta zbyt duża wielkość...
 Jakżebym chciała czasem, by był słaby
 Bym Ja mogła zapanować i wieść
 Bo musiałby być dla mnie!
 I mogłabym coś wtedy wybrać z Życia
 Zatrzymać je sama, by raz nie pominęło mnie
 [w drodze
 Lecz obróciło miłośnie oczy... raz!
 I czegoż ja okłamuję siebie
 Że pragnę innego... to fałsz!

Cyntius: Fałsz nam prawa daje!
 Płątamy się w moralności
 A oślepiają nas blaski

Ja widzę kłamstwo pani!
 Nie przychodzę targać uczucia
 Ale rozdmuchać illuzye...
 Poprostu pani go c h c e — jak kobieta...
 A on szuka młodej... oto wszystko...
 ...Jasno?

Alma: Jakim kamieniem
 Przydusił mi pan piersi
 Jeszcze nigdy nie usłyszałam tak...

Cyntius: Tak prawdziwie

Alma: Mnie coś odpycha od pana
 Pan ma niedobre serce...
 Chciałabym płakać strasznie
 I chciałabym, by ktoś mój płacz koił
 I jestem taka sama
 Jak ja potrzebuję serca!
 — Nie... to nie tak!
 Nie wydam tajni mej, lecz powiem panu
 Byś nie urągał w duszy
 Że jest jasność w miłości mej
 I czystość... i prawo...
 kobiety...

— A ty pogardź
 Lub uwierz... albo szydź...
 Ale usłysz, jako mówię z duszy
 I z mojej prawdy wnętrza, co t a k każe.

Cyntius: Tak pani wybaczy...

Lecz mówić chciałem o A... nie o pani
 Bo doprawdy nie śmien być natrętem
 I czynić włamania do dusz...
 — Ja sam nie umiem się giąć
 I nie umiem się pozbyć trzeźwości
 Ale chciałbym być miłością pijany i uczuciem

Alma: Mówiłeś pan, że... kocha

I jest kochanym...

— Ot, to przecież inaczej...

I dla mnie pozostaje jak był...

Cyntius: Pani kłamie

Alma: Bo kochał we mnie człowieka

Tak... kochał c z ł o w i e c z y ból...

To okropne
 Gdy myślę o tem to gubię się w jakiejś prze-
 [pastnej otchłani

I drzę...
 To było ukochanie fantazmy
 Jakiejś oderwanej człowieczości
 Nie mnie... tej... i
 — Przecież łatwo być mogło i może,
 — Jakieś ściga mnie przekleństwo
 Dawniej kochano moją miłość...
 Dziś on kocha mój tragizm!
 — A mnie coś gna w samotnie
 — Lada nędzarz
 Zapuka do chaty przydrożnej
 I usadzą go przy ognisku
 I ciepłej nawarzą stawy
 I zatroskają się czyjeś ręce...
 By przyodziać jego właśnie
 I temu co w dom wstąpił dać jałmużnę
 Dlatego, bo właśnie on coś cierpi i prosi
 On... nie kocha, jednostka — nie ludzkość
 A mnie coś odrealnia, odcieleśnia
 I wypromienia ze mnie jakąś marę
 Co ogromem swym zasłania mnie...

SCENA V.

Aleksander
Szary wędrowiec (x)
Szara kobieta (k)
 I. — XII. Ludzie.

Szary wędrowiec: Dlaczego siedzisz sam pod murem?

Aleksander: Patrę na ciebie i czekam
 Czy ty potrafisz na mnie spojrzeć
 Aby nie pytać...

Szary wędrowiec: — Ach — to twoje zakapturzone wnętrze
 Każdy z w a s

Aleksander: Was? Kogo?

Szary wędrowiec: Takich jak ty...
 Otóż każdy z was
 Lubi zasiadać pod murem
 Zasepiać oblicze
 I milczeć
 — Chcecie potem patrzeć na przechodniów
 [ze wzgardą]

Aleksander: Ty nic nie wiesz
 Stałeś tu i filozofujesz
 I mędrkujesz i nudzisz
 I... jesteś wstrętny
 — Powiem, że cierpię — i cóż?
 Słowa skamieniają mi w gardle
 Bo ujrzę wiecznie tępe oczy
 Twoje... wasze...

Szary wędrowiec: Czyje?

Aleksander: Gromadzisk!
 Wy chcecie, by gadać
 By wypatroszać mózg
 Mieć natężone nerwy
 I skakać tylko do usług i wam,
 Waszym pół-myślom, co giną z nudów
 Gadać, gadać
 — Rozumiesz mnie ty, że nie chcę myśleć...
 Daj rękę, chodź
 Musisz popatrzeć w moje oczy —

Szary wędrowiec: Patrzę, — zamącenie, błysk

Aleksander: Oręż, siłę
 Wyjdź poza twych źrenic granice
 I chodź tu w mózg, w głąb.

Szary wędrowiec: Patrzysz w obłądność
 Nie mogę zwabić twych oczu
 Uciekasz w dal

Aleksander: Ja czekam, ty musisz widzieć
 Musisz zobaczyć te potoki łez
 Co przelewają się kędyś
 W nieogarniętych otchłaniach
 I nigdy, nigdy nie trysną
 Patrz tam, gdzie za powiekami,
 Siedzi, przyczajony

Niewiadomy ból
 Widzisz?
 I dalej, jeszcze dalej
 Gdzieś może w piersiach
 Rośnie stugłowy potworek
 I tak okropnie uciska, pre, sili
 A jak on pragnie przegryść ciało
 I ukazać głowę, tyle głów
 Skamieniałbyś pod jego okiem
 Człowieku, widzisz?!

Szary wędrowiec: Nie mogę chcieć
 Nie widzę Twojej żrenicy.
 Czego nie patrzysz na mnie i
 Rozwarłeś szeroko powieki...
 Nie szarpaj, nie szarpaj rąk
 Czego nie patrzysz na mnie?

Aleksander: Ach... ty nic nie zobaczyłeś
 To... szkoda, smutna szkoda
 Żeby choć raz!
 Niepomnę, kiedyś, kiedyś...
 Niedawno, ... ale daleko...
 Ktoś patrzył w moje oczy
 I widział

Szary wędrowiec: Ciebie rzuciła kochanka?

Aleksander: O ślepcze
 Gdybym ja mówił o kochance
 Czyż potrzebowałbym szukać i związywać
 [myśli

Kiedyby rozpacz wyła?

— Jakbym chciał

Chociaż przez moment

Mieć ją przy sobie, przypomnieć

Tą co jest i tak strasznie we mnie żyje,

Tylko we mnie, nie dla mnie,

Szary wędrowiec: Nie chcę już ciebie słuchać

Idę

Nie lubię ludzi siedzących pod murem

Bo mi przypominają żebraków

Albo Dyogenesów...

Aleksander: Aha... chcesz ruchu biegu

Takiego, co wy zwiecie Życiem
Trochę tych ruchów rękami, nogami
I trochę stosownych min
I trochę krzyków
— Ja nie umiem...
Bo właśnie kocham ruch i życie
I cenię i uświęcam

Szary wędrowiec: Ze mną pójdź
Popatrz... otworzę bramę
I zobaczysz wiele ludzi
Co się ruszają
Zasmakujesz...

Aleksander: Mnie wolno...
Bo tu mi czasem ciężko
I tu mnie pali żar
I tak dziś strasznie chcę
Pójść, biedz, poważnie żyć
Człowiecze, pokaż mi ruch.

(Szary wędrowiec otwiera bramę, wybiega Szara kobieta, wpada na Szarego wędrowca).

Szara kobieta: Ty jesteś, ty...
Zbiegałam krajów sto
Pomszczę się za niedolę
Pomszczę się za zabitego syna
I za los

Szary wędrowiec: Opasała mi
Straszliwymi szponami...
Ach boli dłoń, kobieto puść,
Żono!

Szara kobieta: Mężu
Jadem napoję palce
I wpiję, wpiję do krwi
Byś zczezł...
Pójdziesz ze mną
Na sąd —

Szary wędrowiec: Puść — to kobieta szalona

Szara kobieta: Sama zakończę sąd
Błysnę ci w oczy żelazem
Nasyci się zemstą szal...

Szary wędrowiec: Pomocy, szlachetny panie

Nie zdołam wyłamać rąk
 Tej piekielnicy, mocna!
 — Działaj ty, czyn.
 — Na Boga, ja chcę żyć
 Żono, zatrzymaj cios

Szara kobieta: Stanie się... już bój się! — tchórz
 (— Aleksander zbliża się i wrywa sztylet kobiecie i rozdziela obydwójce —)

Aleksander: Tak... teraz mój tu głós
 I moja ruchem władna ręka

Szara kobieta: Precz od mych spraw
 Czyliś ty sąd czy zbir?

Szary wędrowiec: Chwała ci —

Aleksander: Przecież dlatego tu jestem
 I poto wy przyszlicie do mnie
 — Czy czujecie wiosnę w powietrzu
 Oddycham tym ziewem nowego życia
 I lekkie są me ruchy
 I szybkie są moje kroki
 Tobie szara kobieto zabrałem ten piękny
 indyjski sztylet, a teraz daję go tobie
 Szary wędrowcze (zabija szarego wędrowca).

Szara kobieta: Ktoś ty... niechcę... idź...

Zabijasz jak tygrys
 Nie zbliżaj się do mnie

Aleksander: Daremnie się lękasz
 Poco twe białe dłonie miały się krwią
 [plamić

Wierz mi Szara kobieto
 Że uczyniłem z uprzejmości dla ciebie
 Minuta... a zarumieniłabyś się krwią
 Dla ciebie dość będzie wiedzieć
 Że to jest moja filantropia
 I moja kurtuazyja

Szara kobieta: Idź!

Ja boję się twych słów!
 Ratunku, pochwyćcie szaleńca
 Ja nie zadałabym ciosu na śmierć
 A tylko chciałam przymusić
 A ty spojrzaleś obłądnie
 I poczyniłeś szybko

Ratunku, przychodźcie tu!
Pochwyćcie, pochwyćcie szaleńca!

(wbiega gromada)

I: Słyszycie skargę kobiety

II: Dłonie zwalane krwią

III: Kto tu spokojny stoi?

IV: Patrzajcie, człowiek, trup —

V: Indyjski sztylet w piersi

VI: Ile krwi, ile krwi

VII: Kto targnął się?

VIII: Zabijmy zabójcę

IX: Patrzcie pod murem skrwawiony

X: Szyderstwo śmieje się z lic

XI: Morderca, wiązać, brać

XII: Na sąd, na śmierć, na sąd!

Aleksander: Nie targaj łotrze

Nie wykręcajcie rąk!

Sam, sam pójdę z wami

Podajcie kajdany!

Słuchajcie!

Mam teraz sen o niepokoju

Zawiesiłem się pomiędzy prawdą a mamidłem

I raz zda mi się, że potrafię

Wyjść za tę bramę i zatrzaskać drzwi

A będę wolnym.

Albo: uwięzić tutaj was

I zostać panem

To znów zda mi się

Że te kajdany są ze stali

I pozostaną na mych rękach

Dokąd wam się spodoba.

— O gdybym wiedział

Że wy naprawdę wtargnęliście tu

I mógł się lękać

Może uchwyciłby mnie ruch

I w obłądnym biegu zatrwożenia

Nie wiedziałbym raz i nie był sobą

Ale był lękiem, chwilą

Moja spokojność i bezruch

Jest stokroć niespokojniejsza

Od waszych trwóg!
Wygnaście spokojność moją!
Bym drżał o następną minutę
Bo dzisiaj widzę bezkresy
I zegarek mój czasu nie mierzy —
Którędy moja droga ku więzieniu?
Oto opowiadam wam
Że będzie ono szklane i przejrzyste
Bo ja muszę widzieć przez mury!

CZĘŚĆ III.
PRZEMÓWIENIA SYMPOZJONOWE.

*Przemówienie wstępne na „Symposion I“
dnia 29 kwietnia 1920.*

Zebranie nasze dzisiejsze, o charakterze „żywego miesięcznika“, pierwsze z zamierzonego dłuższego szeregu wieczorów autorskich grupy Młodych, — powstało samorzutnie, jako wynik wzajemnego ciężenia w pewnym kierunku, w kierunku szczerej twórczości. —

Raz musieliśmy się zejść, by wypowiedzieć otwarcie dla czego, dokąd i jak idziemy, by pokazać wzajemnie sobie i innym oblicza własne, by wreszcie ludzkim naturalnym prawem, skupić się do wspólnego wysiłku i wspólnych nadziei.

Dlatego, całkiem poprostu, przemowa niniejsza ma być właśnie zastanowieniem się nad wspólnym mianownikiem naszym, wspólnym mianownikiem grupy ludzi, którzy prawie pierwszy raz się zeszli i pokazali twórcze oblicza.

Dlatego dziś jeszcze trudno jest uchwycić dokładniejszą wytyczną drogi spólnej.

Nie zamierzamy zresztą nikomu narzucać panującego kierunku.

Pierwszem naszym hasłem jest właśnie rozwój indywidualny.

Akcentujemy to bardzo silnie, że nie rozumiemy prawdziwych dzieł sztuki, bez wyciśnionego na nich piętna odrębnej, twórczej indywidualności.

Im silniejsze i samodzielniejsze jest to piętno, tem wyższą znamionuje wartość dzieła. —

Jako drogę zaś do rozwoju indywidualności rozumiem bezwzględną szczerłość względem własnych wewnętrznych przeżyć, — „rzetelność“ w zdobywaniu tego nieuchwytnego w tajniach ducha poskrywanego majątku dla Sztuki

i święte nieustające pragnienie rozszerzania zasobów ducha, przenikania do coraz dalszych, coraz subtelniejszych czy prostszych, ale głębszych warstw.

Rozumiemy, że w każdym drobnutkim fakcie świata wewnętrznego i zewnętrznego, w każdym zapomnianym kształcie, w każdej myśli, czuciu, nastroju, barwie, cieniu, dźwięku, znajduje się element piękna. Potrzeba tylko oka, ucha, dłoni i duszy artysty, by podjąć pomijane przez innych skarby, by dojrzeć zawsze i wszędzie *Bożą iskrę*, wyłuskać ją z okrycia materyalnych użyteczności i przerobić na strawę Ducha, na płomień, dla dalszego poruszania naprzód i w górę nieśmiertelnej maszyny Pędu. Potrzeba umieć pokazywać dostrzeżone i przeżyte cuda.

Potrzeba więc przedewszystkiem na każdym kroku życia swego przeżywać.

I tylko przez uchwytanie wszystkich we własnej duszy akcentowanych szczegółów każdego przeżycia i spostrzeżenia przez sumienne a bystre wydobywanie tylko tego, co Ja Sam, ten, a nie inny człowiek, w danym momencie, czy też zawsze w tem widzę i słyszę — tylko przez to można dojść do powolnego ukształcenia nowej artystycznej jednostki, indywidualnie twórczej.

Praca jest ciężka, lecz idziemy świadomi, że skarbnica nowych światów nie jest wyczerpana, bo z każdym nowym człowiekiem rodzi się świat nowy.

Gdyby oczy nasze zdołały wnikać z nieomylną doskonałością w przyrodę, w świat, widzielibyśmy jak niesłychanie nowem i innym jest zawsze wszystko, każda odradzająca się z wiosną roślina, każde na świat wydane nowe istnienie zwierzęce, każda pojawiająca się gwiazda, coś, co jeszcze nie istniało tak — umiejmy tylko doszukać się różnicy, bo znowu coś przyjdzie.

My wierzymy, że tak jest, wierzymy w nowość Ducha i jego wszechistnienie.

W tak pojmowanej indywidualności tkwi razem łączona, nowość w tem, co nazywano treścią i formą.

Jedno mieści się bezwzględnie w drugim.

Na tak pojmowanej indywidualności rozumiemy opartą wszelką drogę naprzód, wszelkie rozszerzania zakresu *Formy* w Sztuce. —

Nie kładziemy tamy niczemu, co w taki sposób rzetelnie nowem będzie.

To patrzeć w własną głębię i we własną prawdę jest pierwszym środkiem pędu ku nowościom.

Drugim środkiem jest kultura artystyczna. To znaczy: gromadzenie i uświadamianie sobie wszystkiego, co na świecie całym dla Sztuki zdobyto. — Przyswajanie sobie jak najrozleglejszych wiadomości, jak największej doskonałości, jak najszerszych horyzontów.

Nie po to, żeby z wprawą rzemieślnika na obcych wzorach kształconego, fabrykować na zamówienie pseudo-doskonałe kompilacje wszystkich możliwych błyskotek techniki, „oryginalności“ treści, programów, estetyk, kierunków.

Ale po to, by poznać ścieżki, któremi już chodzono, zaprawić umysł do zakrętów dróg i do trudności, pokazać duszy zawrotne przepaście i podniebne loty — i w końcu odnaleźć nici prowadzące do własnego wyjścia — nieudeptanego nigdy jeszcze.

Bogacić bezustannie technikę własną zdobyciami innych, ale zarazem coraz świadomiej widzieć to, co jest w dziełach nie nasze, obce, z wiedzą lub bez wiedzy naśladowane — i te obcości i zapożyczenia wyplewiał, odrzucać.

Stanęliśmy oto dziś znowu w obliczu nowych form, wobec prądów expressyonizmu, futuryzmu, formizmu i innych.

Celem naszym bezpośrednim owoładnąć jak najrychlej nowymi środkami wypowiedzenia się, owoładnąć po to, by znowu pójść dalej, szukać... —

Nie znaczy to jednak, żebyśmy mieli wszystko, co głoszone za nowe, bezkrytycznie przyjmować.

Kto tylko ma prawdziwy moment twórczy, kto rozumie tą nieustającą styczność przeżycia autora z dziełem, jako tem co łączy go z zewnątrznością, ten nigdy nieopuści drogi tworzenia pod wewnętrznym nakazem, pod nieuniknioną koniecznością wyrażenia swej treści, — nie opuści tej drogi nigdy dla experimentów opatrzonych zawilami a pustymi tytułami i nie będzie się bawił w przelewanie z pustego w próżne, w jakieś „formy dla formy“, w równoczesne drwiny z czystości języka, z muzyczności i harmonji słów dla wyrażenia rzekomych wizji i stanów duszy, jaka jest w sobie. Razem z innymi równie silnie

odczuwamy zmierzch symbolizmu i znudziły nas już niezdrowe nastroje, odurzanie i upajanie się bezcielesną muzycznością, roztapianie się w smutkach... fabrykowanych — i wyblakłych, narkotycznych tęsknotach epigonów modernizmu.

Dzisiaj zahartowani wojną pragniemy usłyszeć nietłumione tętno Życia i Siły, pragniemy bezkompromisowości przy wyrażaniu naszych pędów, odruchów, oburzeń, zachwyków i innych.

Dlatego utarte koronkowe i jubilerskie tylko elaboraty poetyckie nie zdołają już dziś zamknąć naszej twórczości.

Widzimy jak niewolniczy szablon opanował szeregi form, wyrażen, szyków słów, przymiotnikowania, ozdobników i innych akcesoryów językowych. —

Poezya zdrowego odruchu i niewstrzymanego biegu winna dziś wziąć pod swoje panowanie i na swój użytek całą subtelność artystycznego dotknięcia, cały arsenał nastrojów i symbolów i tam tylko je stosować, gdzie bezpośrednio wizji twórczej nakazuje, zaś tam, gdzie stają się kulą u nogi — odrzucać. —

Podkreślamy to, że za konieczne uważamy zrozumienie, że wiele tych blasków, co wczoraj, lub dziś jeszcze nęcą, do których przyzwyczajano nas przez lata całe, wiele dźwięków, któremi poimy się przeżywając głębokie i piękne rzeczywiście nastroje — musimy nieraz poświęcać i odrzucać z żalem i tragedią nieraz nawet, ale bez wahania.

„Dziś“ nas tego uczy i dla postępu nie możemy się cofać przed Ofiarą.

Pętani przyzwyczajaniem sądziliśmy, że tylko pewne odpowiednio poubierane tematy, pewne tylko przeżycia i pragnienia są godne, by stały się w pewien określony sposób Poezją.

Ongiś zakładał pewne granice klasycyzm (np.), teraz duszą dzisiejszą Poezyę ciasne już dziś ramy tak szerokiego pozornie modernizmu, dlaczego? — bo forma i treść zaczęła się stawać utartą i konwencyonalną.

Zasługą szeregu nowych współczesnych poetów jest, że nauczyli rozsądzać ściany kompozycji i osobliwości języka, budując równocześnie na sile pędu. We krwi dziś naszej to płynie, że siła, odruch i pęd żywotny są naszemi przykazaniami.

Nowoczesna Wola mocy!

Nie trzeba nam dzisiaj mydłków z ich roztkliwieniami się, perwersyjną fantazją i lubieżnymi nastrojami.

W tem tkwi nasza najsilniejsza łączność z narodem i jego celami, z całą społecznością.

Nie na tem polegać będzie nasza narodowość, żeby z przyzwoitości i dlatego, że tak wypada, że „tak zawsze robiono“ — pisać hymny przy każdej patriotycznej okazji, przy każdej rocznicy, odami sławić każde bohaterskie nazwisko i przymuszać się do powtarzania wielkich słów, byle tylko jaśniała tradycja, byle tylko tłumowi wrzeszczeć: Polska! Polska!

My spoglądając na ludzi i społeczeństwo, będziemy dopatrywać się przedewszystkiem wartości człowieka, jego wysiłku, bo kochamy i cenimy przedewszystkiem pierwiastki ludzkie: miłość co łączy, głębię, co uszlachetnia i podnosi i siłę co prowadzi.

I wierzymy święcie, że artysta temi czynnikami zapłodniony, pisząc o sprawach najpospolitszych lub obcych — położy cegłę na gmachu Ojczyzny, — natomiast bezduszne i temi koniecznościami nie ożywione tworzenie dytyrambów o przeświętych misterjach narodu — będzie tylko bezużyteczną grafomanją. —

— Co nam drogę pokazuje?

Przedewszystkiem nie cel, społeczny, czy narodowy, religijny, czy naukowy, czy filozoficzny —

dla prawdy i rzetelności spojrzenia musimy to stwierdzić, bez względu na to, czy ktoś się obruszy, potępi, lub pogardzi.

Porusza nami Konieczność, co tkwi w naszym Duchu, Siła, co z nami przyszła na świat i nam ten kardynalny obowiązek nałożyła, by wrodzony ogień podsycać bez wytchnienia.

Popatrzcie bacznie w wasze dusze! Na dnie tli u każdego Wola Pędu i dla nas Ona jest świętą i władną!

Najwyższe nasze hasło: nie sprzeniewierzyć się tej treści Ducha i baczyć święcie na Jego Prawo drogi ku górze!

Kto umie patrzeć bez fałszu, bez samooszukiwania się i bez obłudy, dojrzy jasno, że za tym właśnie największem hasłem w ciszy postępujemy.

Kraków 2. III. 1920.

Przemówienie wstępne na Symposionie II.

Powiedziałem*): nie cel nam świeci, a Mus nas pogania.

Powiedziałem to dlatego, by zerwać osłonę fałszu, bardzo — w istocie szumnego, ale fałszu, bo oto pokazuje się nam prześwięte i tajemniczo poukrywane finały poetyckich dróg, a poprostu czasu nie zostawia się sobie na samo-wejrzenie.

Inna rzecz, że to „samowejrzenie“ jest wejrzeniem w chaos i wejrzeniem w tragedię, ależ przecie i to trzeba całkiem jasno wreszcie postawić, że bez tragedyi w duszy — niema prawdziwego artysty, a tragedia ta polega na nieprzyjemnym kłopotcie, dajmy na to, Stworzyciela, który nie wie, na czym oprzeć centralny punkt w skotłowanym chaosie i jaką drogą popchnąć rozpęd gwiazd swoich, albo jeszcze gorzej: ponieważ przedtem kształtów żadnych nie było, więc i kształtu swej gwiazdy nie widział nigdy duchem — a przeto jak, z czego ją wymyślić?

Chaos wewnętrzny — przyczyn, i obok niego, przez nas samych wytwarzany chaos zewnętrzny — celów.

I czemuż jest owo stawianie przed sobą w życiu i w sztuce haseł estetycznych, celów społecznych, zadań narodowych?

Nawykiem — czy koniecznością?

Odrzuć nawyk; dla tego, że byłby wyjściem zbyt łatwym — (za miernik spraw ducha uważam trudność — stopień trudności będzie stopniem prawdy, stopniem świętości sprawy).

Gdy bowiem wytłumaczymy sobie, że stwarzanie całego aparatu zawiłych kwestyi, dotyczących naszego sztandar, naszego pożytku i naszych zadań — jest tylko naby-

*) W słowie wstępnem I. Symposionu.

tem nawyknieniem, łatwo powiedzieć sobie można wówczas: w ką z tem! — to nie jest istotne! Więc nie śmie zaważać na drodze!

— Wprawdzie nie uważam, jak rzekłem, Celu za rzecz istotną, lecz jest on rzeczą istotnie z konieczności stwarzaną, — nie jest on motorem bytu, niemniej jest tego bytu organiczną częścią. A przez to, że przyjąwszy jego istnienie — zmuszeni jesteśmy tą utrzymywaną na nasz koszt istotę żywić, — podkreślam: musimy — więc miarą nam będzie on mus, on trud — konieczny.

Konieczność Ładu w Chaosie!

I ta konieczność jest tworzącą i każdy cel postawiony, to już rzecz stworzona; na tem polega właśnie trudność stawiania celów, trudność granicząca prawie z niemożliwością.

By stworzyć coś, — na to trzeba wysiłku Stworzyciela — i trzeba na to głowy Stworzyciela, by cel stworzyć nie mając przedtem dla niego żadnego celu.

Jaki wynik tych kilku zdań?

Widać jasno, że nie ukojenie, a tylko olbrzymi, tragiczny Znak zapytania, postawiony wszystkiemu, bolesne Zaprzeczenie ludzkim wysiłonym na wielkość głowom i ciśnięte w twarz wszystkim, — co mówią: „róbcie tak a tak, bo z tego ma wyjść to, a to“ -- jedno zimne słowo: kłamstwo!

— Nie będę uogólniać i objeżdżać.

Stosy całe piętrzących się negacyi są w nas samych, we mnie, w przyjaciółach moich, w młodzieży, w pokoleniu starszych...

Każdy z nas składa się z pierwiastków takich, za które rumieni się spojrzawszy w zwierciadło w godzinie poważnej. Przedewszystkiem brak nam wewnętrznego skonsolidowania, z wartości ducha.

A może i gorzej jeszcze: brak nam często poczucia konieczności takiego skonsolidowania, nie jesteśmy na tyle zdolni i na tyle głębszy, by u mieć wniknąć w konieczność drogi wysokiej i głębokiej.

-- Czyż potrzeba wyliczać grzechy przy tym rachunku sumienia?

Zdaje się, że najcięższym i najsmutniejszym grzechem jest płytkość, łatwe zadowolenie, brak tragizmu.

Czyli — zaleniwienie.

Bo kieruje nami przeważnie... wygoda i pniaż rozkosz dającą jest nam zabawa. Bo proszę uważnie popatrzyć, czy nie jest prawdą, istniejącą może tylko w tajnikach, w odruchach sumienia, ale żywą, że gdy n. p. lubimy tłumaczyć naszego ducha tak: od napięcia wysokiego i stanu pełnego powagi i głębi koniecznym jest przejście do lekkiej wesołości, do igraszki, żartu, zabawy i t. d. — to wprawdzie mamy rację (fizyologiczną), — ale czyż ten stan napięcia ducha ma na tyle siły, by w czasie swego trwania, w okresie działania nie dał się wytrącić z równowagi i z pracy niczem?

Nie mówię o działaniu na ducha wrogich, przeszkadzających mocy, ale o całkiem pospolitem „nie chce mi się więcej“, o całkiem trywialnem roześmianiu się w środku tragedyi, gdy dowcipniś — złoty młodzieniec szepnie na ucho sprośny żart o grającej aktorce, o całkiem zwykłem odwiedzeniu kina w towarzystwie rozszczebiotanej dzierlatki — zamiast stać na środku ulicy i baczyć na zaćmienie słońca.

A np. — nie jest wygodą ducha inna powszechna choroba — frazesowość?

Frazesowość w słowie, w myśli i w czynie, — poza?! Wszak tak nami owładnęła ta nadęta hipokrytka, ta mówczyni z wiecu, lub z obchodu narodowego, ta fejetonowa trąba jerychońska, ten bajecznie, a tanio kolorowy afisz plugawego kinodramatu, — że często zejść do prostoty do nagiej prawdy nie potrafimy.

Doprawdy, można dziś, widząc to, co jest, przeczuwać konieczną bliską reakcję. Poglądając subtelniej można wyobrazić sobie tą niedaleką przyszłość, kiedy widok frazesu przyprawiać będzie o atak nerwowy, — przyszłość, w której, być może, przeczulenie na tym punkcie dojdzie do pedantyczności sędziego śledczego, co tropi wszelki ślad przestępcy i nie przepuści jednemu słowu, jednemu okresowi, chociażby nawet były Bogu ducha winne.

Bo dziś nas frazes dusi i poza zamydla nam oczy. Te słowa, te nawet oto jemu walkę wypowiadające zdania noszą na karku tego wampira — i pisząc to — lękam się spojrzeć w tył, by nie musieć zrzucić przyssanego do krwi potwora i nie zadawać sobie bólu wydzierając razem z nim kawał ciała żywego, w które pyskiem wgrzył się.

Oto nic do dalszego wątku wiwisekcyi dusz? Lęk, obawa bólu, niezdolność do zadania sobie gwałtu — pozornego — a za to istotnego zerwania więzów.

Boimy się jak ognia przekreślić to, co raz dłoń nasza narysowała, chociażby było to złe, błędne, potwornie głupie i puste.

Boimy się zadrasnąć tem własną dumę.

A przecież w tej warstwie myśli, która jeszcze prawie że nie nabrała pojęciowego wyrazu, przyzwolenia i języka cichego, ale logicznie wiązanego, w warstwie mgławic i błyskawic myślowych istnieją niezmierzonej siły odruchy, co piętnują fałsz i głupotę i wypiętrzają pod górę jakąś szaloną linię prometejskich rozmachów nowej budowli. Ale — my się przeważnie wstydzimy przetłumaczyć ową mowę odruchów na mowę pojęć i na negatywno-pozytywne dzieło, bo istniejący magazyn gotowych, błyskotliwie lakierowanych fabrykatów dusi w zarodku wszelką próbę ucieleśnienia buntu.

Smutnych pierwiastków dusza nasza ma niestety więcej — i doprawdy, gdyby wątpienie własne miało kres tylko w tem, to znaczy w stwierdzeniu, że jest w nas coś, co się buntuje, ale jest także dawność zatęchła, która buntujące się siły zabija — to byłoby jeszcze jasno. Bo gdyby nadzieja, że kiedyś, ...kiedyś... reakcja runie, a siły nowe i prawdziwe, rzetelne — zwyciężą i coś zbudują. —

Najcięższa parność wewnętrzna i najkrwawszy tragizm leży w jeszcze głębszem, jeszcze pesymistyczniejszym samowejrzeniu. Bo dochodzimy przy niekłamanem patrzeniu w zwierciadło do poznania braku i załamujemy rozpaczliwie ręce wołając: gdzie urojone zdolności? gdzie posiadane spichlerze? gdzie siły, o jakich gdzieś, kiedyś mi się śniło?

Zjawisko przeraźliwej Pustki!

Nie podaję tego jako fakt psychologiczny tylko, — jako zimną obserwację — ale i z bólem i z trwogą rozglądam się wokoło, by zobaczyć, czy gdzieś, we mnie samym, czy w innych jest coś istotnie?!

Czy są takie poskrywane wartości, co pozwolą nam kontynuować pracę wieków i zrobić krok, wielki krok ku górze, — czy nie musimy wstydzić się za siebie i za współczesnych oglądając się w perspektywie wieków i czynów i kultur i kataklizmów i wędrówek narodów i duchów? —

Poprostu: czy daną nam jest iskra Boża i czy daną jest nam zdolność pracy i czy daną jest nam siła tworzenia w jak najszerszem znaczeniu i zakresie?!

Dziwnie tragicznem jest poczucie niemowlęstwa.

Mamy skądś wewnętrzną miarę, że potrafimy jeszcze czasem poznać i ocenić to nieudolne niemowlęstwo nasze. Posiadanie jej jednak zwiększa jeszcze tragizm.

Bo nadaremnie przykładamy do piersi frazesowicza i pozera miarę Fidyaszową!

Nie chcemy dla wygody tego, co w codziennem życiu posiadamy, — dla zabawy, (tak zw. „pełnia życia“), dla przyziemnego używania — stawiać sobie na drodze skalisk i przepaści. — Fakt drobny, pozornie nieznaczący, podłuchana w teatrze rozmowa: — (grają dramat, poważny, głęboki, w teatrze pustki...)

Ktoś gromy ciska na bezdusność publiki, jakiś pan dowodzi na to zapamiętałe: „Ludzie zmęczeni dziś są. Tyle codziennych trosk. Wojna, wyżywienie, kłopoty i zmartwienia domowe. Czyliż chciałoby się komu jeszcze i tu spiętrzać nad sobą smutki i zgryzotę. Wszak każdy woli usłyszeć coś chyba wesołego. Dramat — to „pogrzeb“ Sztuka wogóle — to także „pogrzeb“ Ergo — niech żyje Kabaret!“ —

I znowu, jako fakt, — racya!

Psychologia ludzi, zbiorowisk utrafiona dobrze, ale... jakąż jest treść tego, jaka kwintessencya dla obserwującego oka, — oto: zamyślenie się nad duchem własnym jest dla nas już dziś za „męczącym“, potrzebujemy czegoś wygodniejszego. Czyż więc można, czyż warto — myśleć o drodze Ducha, o wiecznem zaświatowem doskonaleniu się, o ewolucyi twórczej i o nieskończonym pochodzie?

I to znowu nie jest jakieś tylko słowo, dla zachęty, na podstawie obserwacyi zimnej i obojętnej, — to znowu gorący własny ból i straszne stwierdzenie — (są chwile takie gdy straszność ta krew w żyłach mrozi) — stwierdzenie braku skupienia się do jednej wyteżonej pracy Ducha.

I znowu słyszymy gdzieś, czasem kipiące w głębi moce, jeno brak tego pchnięcia, coby koło rozpędowe z martwego stanowiska ruszyło i takiego motoru, co byłby doskonałym. —

— Czy to wszystko tylko pesymizm?

Czy to wszystko tylko negacya?

Zarzucicie mi, że nie daję pozytywnej budowli!?

Doprawdy, byłbym szczęśliwy, gdybym zdołał przeniknąć siebie co w istocie kazało mi to pisać!?

Czy to była jakaś cicha konieczność, czy głośny rozrachunek z sumieniem, czy zamierzony cel, by działać, czy wreszcie tylko obiektywne badanie?

Ale jako „dalszy ciąg“ tego widzę prawo reakcyi!
I tu jest moja pozytywność!

Bo pokazałem sobie i Wam rąbek tragicznego Chaosu.
I pragnę uświadamiać tragiczność!

Przeczuwam owocność bolesnego wrzenia i przeczuwam to, że dopiero tragizm czyni człowieka!

Bo człowieka prawdziwego widzę zawsze jakoby idącego ku jasnościom na chwiejnej linii nad otchłanią potępionych kręgów, na których bramie napisano: „Lasciate ogni speranza.“ —

Kraków 3. V. 1920.

*Przemówienie wstępne na Symposionie
w dniu 20 czerwca 1920.*

Pragnąc dzisiaj objaśnić i wyłożyć poglądy na nową Sztukę i zagadnienia z nią związane, jakie można wyprowadzić z żywotnych, świeżych jej objawów — powiem nie we formie „Creda“ grupy, lecz postaram się odkryć (— najogólniej —) drogę myśli młodego, dzisiejszego pokolenia, — uświadomić — jej, coraz to wyżej sięgające etapy i wskazać punkt styczności młodej duszy twórczej, — na tym nowym, czasem zaledwie przecuciowo uświadamianym stopniu ewolucji wewnętrznej — z formą poetycką. Należy bowiem zrozumieć konieczność, dlaczego tak, a nie inaczej kierują się drogi nowej formy, co zachodzi w duszy człowieczej, że instynktownie zwraca się ku czemuś innemu niż dotąd p a n o w a ło. Mówię „panowało“ — bo nie jest to bezwzględnie nowem pojawiało się i znikało nieraz u wybitnych jednostek twórczych, nieuświadamiane, błyskawicznie przelotne, nieuprawniane przez artystyczne aeropagi, ani przez samych nieraz twórców.

— Nie będę silił się o danie krótkiej historji rozwoju myśli ludzkiej i ewolucji duszy całego łańcucha pokoleń. Poprostu nie stać mnie dziś na to, a nie chcę bawić się w szematyczne, z odpowiednich książek wyszukane ujęcie tych kwestyi.

Zaznaczę tylko to, co intuicyjnie i podmiotowo wyczuwam, jako punkty szczytowe wędrówki duszy ostatnich czasów za prawdą,

I.

Muszę z samego początku podkreślić to, że właśnie Sztukę uważam za bezwarunkowy przejaw duszy człowieczej, duszy, której najistotniejszym pierwiastkiem jest wieczne

szukanie i to niewiadome „x“, które właśnie jest motorem wszystkiego. Określam tem zarazem zupełnie wyraźnie stanowisko przeciwne wszystkim owym kierunkom, rzekomo futurystycznym, formistycznym i i. — które ten pierwiastek metafizyczny, nieokreślony, z maniackim uporem i z dziwnie płaskim brakiem wszelkiego uzasadnienia usiłują ze Sztuki wyrugować.

— (Nadmienię tu nawiasem o niedawnym wieczorze jednego z tych panów, chorych na megalomanję, którzy sklecone z cudzych pomysłów „programy“, zaprawione wodą własnej płytkości — usiłują wmawiać publiczności jako „futurystyczne“, czyniąc przez to krzywdę i fatalną opinię istocie postępowego pierwiastku nowych prądów.

Zapominając o całej głębi psychologicznych czynników, które powodują wyrażanie się w Czystej Formie, czyli: przekreślając ową jedyną wartość Sztuki, panowie ci pragną przy tej okazji reklamować swoje pseudo-rewolucyjne utwory, które zresztą ani z ich własnymi wodnistymi hasłami, ani wogóle z Sztuką nic wspólnego przeważnie nie mają. — Jeżeli według ich formułek odrzucić owo „niewiadome“ i ową podstawową metafizyczność (— używając ich terminologii —) z Poezyi — to ciekawym jak właściwie i na skutek czego ma powstawać forma w Sztuce? Czy sama ma się wytwarzać „ze siebie“ (— forma dla formy —) — skoro człowieka z jego nieuchwytną duszą weźmiemy poza nawias?) —

Sztukę jednak tworzy człowiek, którego dusza niestety — składa się właśnie z owych „x“, ich zaś odgadywanie jest nieraz tragedją, ale zato istotnym motorem twórczym.

II.

Droga wewnętrzna nasza idzie ku coraz rzetelniejszej Prawdzie.

— Kształtują bowiem naszą duszę być może że dwa najistotniejsze pierwiastki. Jeden to poznanie prawdy za światem, zaprzeczenie wartości wszystkiemu, co cielesne, bo „wszystko przez Ducha i dla Ducha stworzonym jest, a nic dla cielesnego celu nie istnieje“. U nas uświęcił i we wzniosłą ewangelię zamienił to Słowacki — mistyk, dziś szerzy te idee „Zdrój“ odrywając człowieka od ziemi i ukazując

królestwo Ducha w zaświecie. (— Dodam w nawiasie, że bystrzejsze studium mistyki Słowackiego wykazałoby pewną jednostronność takiego ujęcia, lecz chodzi mi dziś o punkty szczytowe, o działanie i wpływ tej mistyki, a on bezwarunkowo odrywa od życia i zaprzecza mu —).

Drugim czynnikiem jest instynkt życiowy. Po-mieszczyć tu zarówno proste, brudne uczucia zaspakajania swych pierwszych lepszych bandycko-zwierzęcych żądz i popędów jak i owe głębokie i szerokie pojęcie Dyonizyjskiego, ową Wolę Mocy Nietzscheańską, owego Antychrysta, który walczy z zabójczym mamidłem „kłamstw“ zaświatu, Boga, duszy, nieśmiertelności, — co tylko „dekadencją“ są i bezprawnym pogwałceniem tego, co istotne, żywotne, rozprężające się siłami młodej krwi i pierwotnego odruchu. (— Znowu zaznaczam, że cytując Nietschego podkreślam to, co działa jako kontr-siła, patrząc bliżej dostrzega się znowu ów psychologiczny czynnik, który pokazuje wewnętrzne ścieranie się i tragedję niemożności stałego ujęcia, mimo całej mocy i pewności zewnętrznej. —) (I na tem właśnie przedewszystkiem spoczywa istota uświadomienia duszy dzisiejszej).

I teraz przejdę do współczesnej najwewnętrzniejszej dążności.

Gdy uświadamiamy sobie owe dwa kierunki duszy naszej, odczuwamy chęć syntezy. Prostu mówiąc: nie umiemy ani nie chcemy wyrzekać się zarówno jednego jak i drugiego czynnika, przeczuwa się tu i tam, równie silną prawdę.

A wynika to właśnie stąd, że (— jak to zaznaczałem —) pomosty do takiego połączenia istnieją i znalezienie i udogmatyzowanie syntezy nie byłoby sprawą zbyt trudną.

W ustroju jednak umysłowym dzisiejszym ma się rzecz inaczej. Oto odsuwamy się od uświadamiania sobie i instynktownie obcą jest nam praca nad udogmatyzowaniem czegoś i choć pewne komórki duszy drgają tęsknotą za jakimś punktem oparcia, za ustaleniem i spokojem, jednak całość ducha naszego żyje i myśli owym nieustającym Ruchem, ową płynącą przemiennością, świadomością ciągłej drogi wzwyż, ewolucji wytęsknianej, ale nienazywanej. To znaczy, że w jednej duszy mieści się bez ustanawianej hierarchii wszystko,

tak zwane złe i tak zwane dobre, instynktowne i duchowo-intellektualne, opadające i kierujące się wzwyż, — w ciągłym przelewaniu się jednego w drugie, w tragicznej, bo nieuchwytej przemienności, tem tragiczniejsze, że zaznacza się bardzo wyraźnie niechęć i obawa przed wychwytywaniem czegoś stałego, przed nadaremnym trudem wartościowania. To, co się czyni, czyni się intuicyjnie, przecuciowo i odruchowo — nie zaś według jakiegoś katechizmu.

Z punktu widzenia myśliciela lub moralisty padnie natchmiast zarzut lenistwa, obawy trudu. — Trzeba jednak rozważyć, że po pierwsze artysta, typ pełnego i rzeczywistego człowieka patrzy inaczej i inne ma zadania od zadań myśliciela lub moralisty, — po drugie zaś, że *istnieje* tu trud nieustanny, ciągłego uświadamiania sobie załamań własnej drogi, wypatrywania i lęku lub nadziei na chwilę następną, ciągły trud i ciągły tragizm. Padnie znowu zarzut, że nie jest niczem nowem, ów „dzisiejszy“ stan człowieka, owa szarpanina i niepewność ducha. — Rzecz to całkiem naturalna i jasna. Od wieków opiewali poeci „jaskółczy niepokój“ duszy, Prometeuszów i Hamletów. — Dzisiaj chodzi o uprawnienie tej wewnętrznej rzeczywistości, uświadomienie płynności i stwierdzenie, że ponieważ taka jest nasza istota wewnętrzna, więc w niej leży najgłębsza, dziś osiągalna prawda duszy. Gubią się bowiem w naszych oczach powoli jakieś drogowskazy moralne stałe, nie ginie jednak w duszy naszej nigdy owa Wola Drogi ku Górze — i ona (— a więc wrodzona przyczyna i konieczność, a nie naznaczony na dłuższe okresy czasu dogmatyczny cel —) jest machiną ruchu.

III.

Zaznaczywszy w ogólnych zarysach taki stan i ciche dążenie duszy dzisiejszej, pragnę objaśnić jak objawia się to we formie poetyckiej i jak droga Ducha przylega najściślej do drogi rozwoju formy. A więc: we formie usiłować będzie dzisiejszy artysta (— zaznaczam: instynktownie i odruchowo — nie z pomocą wyrozumowania i obrachowania —) odtworzyć ten stan ciągłego ruchu, przelewności momentu w moment i owej tragicznej a rzeczywistej płynności ducha.

Dotąd przedstawiano to tylko w treści utworów sztuki, prosto mówiono o tem, czy też wyobrażano to w pewnych całościach artystycznych, które nazywano wizjami twórczemi.

Dziś, oprócz tego, należy nie w słowie już tylko, lecz w czynie zadokumentować istnienie i uprawnienie tak poznanego stanu duszy. Czyli: forma w każdej swojej części i całości musi wprowadzać pierwiastek owej płynności, żywości i ruchu, musi być tem. — Zamiast przedstawiania tylko wybranej, dominującej coprawda wizyi i dobierania do niej najsilniejszych i jej tylko potrzebnych kolorów i dźwięków z tego materiału, co chaosem do duszy napływa — odtwarzać się będzie zarówno wizyę jak i cały moment twórczy autora, a więc i ów dominujący temat, co otwiera niejako i „prowadzi grę“ i cały stosunek autora do tego, stosunek, który może nieraz znacznie większe dale i głębie odsłania niż sama dominująca wizya.

Odrzuca się więc czynnik tego, co najogólniej możemy nazwać kompozycyą (— nie tylko formułkowata à la Boileau i pseudo-klasycy, lecz pojęta szeroko, nawet jako pewien ton nastrojowy, który dla szeregu skojarzeń autor zatrzymuje —). Kompozycya bowiem wprowadza jakieś wartościowanie a priori, a duszy poetyckiej przecież nie jest wiadomem napewne, czy za 5 minut nie trzeba będzie (— może chwilowo —) przekreślić i potępić to, co teraz przygniata wielkością.

Tworzenie więc musi wartość ową, która ma „iść“ na papier brać na gorąco, w ostatniej chwili wyszukiwać z chaosu napływających fal.

— Nie jest to jednak bynajmniej dowolne zdanie się na bieg myśli i wrażeń i bierność twórcza.

Usuwać kompozycyę nie wolno wyrzucać Harmonji. Ale harmonię stanowić tu będzie co innego i inny większy trud jest udziałem twórcy. Odtwarza się bowiem łańcuchy (— napływających chaotycznie do głowy —) asocjacji, już to pojęciowych, już to wyobrażeniowych, wrażeńiowych, dźwiękowych — jako wynik emocjonalnego odruchu danego momentu twórczego. I trzeba z chaosu mniej i więcej wartościowych materiałów wybrać tą drobną część, która ma utworzyć dzieło.

Przeżywa więc poeta w każdym momencie i nad każdym prawie zdaniem całą swoją duszę, by z walki najrozmaitszych czynników wybrać to, co w danym momencie jest dla niego najintensywniejsze — i rzucać to na papier.

W następnych chwilach może inaczej ukształtować się wewnętrzny stosunek sił — i znowu najintensywniejsze — instynktownie — odruchowo — otrzyma znamię wartości.

Mogą więc następować pozornie nieusprawiedliwione skoki, pozorne dziwactwa dla logicznego umysłu. Panuje tu jednak logika, a raczej brak logiki duszy, jej życia i ruchu. Łańcuchy assocjacji pojęciowych mogą przeplatać czyste wrażenia, dźwięki, łańcuchy wyobrażeń, — i odwrotnie, — poeta nie zatrzymuje się specjalnie przy żadnym temacie, lecz idzie za ruchem własnej duszy. Poszukiwanie wartości najintensywniejszych w danym momencie, ich pewna współwymierność i naogół równe i ważne natężenie stanowić będą w tym płynnym kształcie Harmonję. Grzechem bowiem będzie zdawanie się bezwolne i bez wyboru na falę płynących assocjacji i umieszczanie nagłe — obok głębokich wewnętrznych łańcuchów np. pojęciowo-wyobrażeniowych — jakichś zewnętrznych ubocznych, nieintensywnych wrażeń, — dlatego „bo one także w danej chwili pojawiły się“ w świadomości poety.

Podkreślam więc, że musi „iść“ zawsze wartość o najintensywniejszem natężeniu, czyli taka, która odruchowo, instynktownie, przecuciowo poetą owładnie. A więc sięga się przedewszystkiem do stanów podświadomych, bo emocjonalne napięcie tego, co jeszcze pojęciowo i obrazowo nie określiło się w państwie myśli — jest przeważnie znacznie silniejsze od tego, co „już rozumiemy“ i potrafimy w logiczne zdania i obrazy ująć. Tu podświadome wartości formują się odruchowo w pewne szeregi wyobrażeń, które więc nie posiadają często logicznego układu, lub nawet (— biorąc odrębnie —) t. zw. „sensu“ — niemniej jednak w swej ciągłości z realizmem psychologicznym oddają to, co w głębi mózgu wibruje.

Powtarzam więc, że uprawniając ową niemożność i niechęć do ustalania i wartościowania — a natomiast wprowadzając rzeczywiście istniejącą płynność we formę — jako czyn poetycki — nie zaś tylko „słowa i słowa“ —

musi się usunąć to, co dotąd stanowiło czynnik apriorycznego wartościowania t. j. kompozycję, a zawartość dzieła sztuki wypełnia się temi czynnikami z chaosu sił wewnętrznych działających, które w poszczególnych momentach swoją intensywnością spowodowały odruchowe przyjęcie.

Nie będzie więc owego rozdwojenia: autora i wizji jego (— z których dzieło sztuki zapełniała wizya, a twórcy trzeba się było domyślać gdzieś w głębi i dopiero z szeregu utworów —), lecz w każdym drobnutkim utworze zawarta być powinna cała dusza poety. A to w ten sposób, że pokazując (— w skrótach, bo najważniejsze tylko —) punkty szczytowe drogi duszy w danym momencie twórczym, daje się — nawet w małym utworze — nie jakąś historję uczuć, lub zapatrywanie tylko poszczególne, lecz całe ustosunkowanie sił duszy poety. Więc nie materiał dla obserwacyi psychologa tylko (— jakby to się mogło zdawać —), nie bezwolne, bierne przedstawienie chaosu mózgu człowieka w danym okresie — lecz wskutek walki wewnętrznej i przeżywania całego siebie w każdej chwili i nad każdą ulotną myślą, która ma skryzalizować się w słowo, czy zdanie — pokazanie wartości i sił twórcy w takim ustosunkowaniu, jak się to ma w rzeczywistości.

Tylko by tego dokonać musi się zrywać z dotychczasowemi przesądami o uprawnianiu tylko pewnych „dla całości“ potrzebnych kolorów, a pomijaniu chociażby najsilniej szarpiących duszę w momencie twórczym wątpliń i pragnień. Czyli — przesuwa się sztukę w dziedzinę wewnętrzną, daje się duszę ludzką i jej walkę — nie zaś temat, tak lub owak przefiltrowany.

— Dla ogólnikowej przynajmniej orientacji poszukam — dalekiego wprawdzie przykładu — i to u Słowackiego.

A więc 1-mo: tworzenie kompozycyjne: arcydzieło, np. „Ojciec Zadżumionych“. Wszystko, co jest w tym poemacie potrzebne jest tylko dla wizji twórczej — dominującej swoją drogą, ale jednej wybranej.

Dla tworzenia zaś, o jakim dziś mówiłem przykład — nieco mniej dokładny, (— należy patrzeć z pewnej perspektywy —), „Beniowski“ i „Król Duch“. Uprawnia tu poeta w dużym stopniu swój moment twórczy cały, nie zaś tylko pewną wybraną wizję.

Stąd pochodzą t. zw. „dygresje“ — które jednak, zwłaszcza tam, gdzie zaznaczają wprost stosunek autora do swego dzieła i do chwili twórczej — stanowią istotną wartość utworu. Przykład ten, acz bardzo niedokładny i daleki, może być jednak, jako, że utwory powszechnie są znane, — pierwszym wskaźnikiem dla orientacji.

IV.

Usiłując teraz wyciągnąć uogólnienia z takiego poglądu na kwestję nowej sztuki, poglądu, który zresztą zrodził się — rzecz prosta — *ex post*, — nie poeci pisali według takiego uświadomienia i założenia, lecz pogląd ten jest uświadamianiem tego, co się dokonuje, — spostrzega się — po pierwsze, że sztuka zmierza ku coraz większej szczerości wyrazu, wszelka „sztuczność“, wszelkie naginanie się do jakichś wymagań i prawideł estetycznych lub do jakichś konwenansów staje się coraz bardziej obcem i rażącym.

Chodzi mianowicie o coraz większą *Prawdę*.

Następuje więc tu niejako zespolenie idei Piękną z ideą Prawdy (— o ile posługiwać się mamy temi oderwanymi kategorjami —), — artysta szuka prawdy duszy człowieka i „prawdę“ a nie jej upiększony i uprzystępniony odpowiednio obraz zamieszcza w dziele sztuki. Wynik estetyczny pracy twórczej polega na skróceniu drogi wewnętrznej do momentów najintensywniejszych, skupiających w sobie wszystko. (— Oto istota niektórych futurystycznych „skrótów“ —).

— Celem więc sztuki będzie ukazanie *prawdziwego* człowieka, doskonałego przez swą prawdziwość.

Hulewicz (— red. Zdroju —) nazywa to kształtowaniem „nowego typu człowieka“, który ma być jasnym przeciwstawieniem zmaterjalizowanej, płaskiej i brudnej rzeszy, co zapomniała o istnieniu Ducha i o swem człowieczeństwie. Nazywać by to jednak należało raczej „dokopywaniem się“ do wiecznie istniejącego prawdziwego Człowieka, świadomego duszy i związanej z jej posiadaniem pracy nad ewolucją.

— Bo jak było w pół-zwierzęcem barbarzyństwie, jak było przez cały ciąg historii ludów, tak i dziś przygniatająca większość ludzi nie wie o swoim istotnym człowie-

czeństwie. Rozumiejąc to zrozumie się równocześnie, że rzeczywiście wielką jest praca i idea artysty, w świadomości łańcucha ewolucji.

V.

I jeszcze jedna uwaga, co powinna zawsze, a zwłaszcza teraz, gdy ludźą pozory większej łatwości i wolności twórczej, — być zasadą: oto tylko bezwzględna konieczność twórcza i nieodparty nakaz wewnętrzny może uprawnić pracę artystyczną. Trzeba bowiem zawsze ukazywać jaknajpełniejszego „całego“ człowieka, nie zaś połowę jego, lub drobny fragmentaryczny ułamek.

Ukazywanie bowiem małości, cząstkowości i epizodyczności dzisiaj staje się prawie przestępstwem.

Wymagania sztuki zpotęgowały się i wejście w jej dziedzinę (— wbrew powszechnej płytkiej opinii —) zostało nadzwyczajnie utrudnione.

Sprawą „pragnących tworzyć“ winna być dziś poprostu walka z nakazem twórczym, czyli — szukanie konieczności prawdziwej i unikanie grafomaństwa, a równocześnie szukanie w sobie istoty człowieczeństwa.

Sprawą krytyków i estetyków zaś psychologiczne wniknięcie w moment twórczy poety i zbadanie, czy ustosunkowanie sił, jakie znalazły ujście we formie poetyckiej — kieruje swoją wypadkową właśnie ku ukazaniu Typu idealnego, prawdziwego — acz niestety tak ukrywanego człowieka. —

Kraków, dnia 15—20 czerwca 1920.

*Przemówienie w Akad. Kole Art. Lit.
w kwietniu 1920.*

Przemawiam tu imieniem grona młodzieży miłującej sztukę.

Niech to Wam będzie wyjaśnieniem pierwszym, że sztuka dla nas jest istotnie życiem i umiłowaniem.

I dlatego poruszamy jako kwestyę żywotną i gorącą nasze stanowisko — wobec Waszego panowie „futoryści“ ruchu, ruchu dotyczącego rzekomo sztuki, stawiającego sztukę za godło.

Nie przychodzimy jako krytycy. Nie byłoby nic łatwiejszego, jak rozwijać tu nad waszemi utworami sieć zarzutów krytycznych, estetycznych.

Nie byłoby nic łatwiejszego jak wydrwić i ośmieszyć szereg jaskrawych bezwątpienia form waszych występów i ze złośliwością wyszydzić szereg nadużyć, jakie popełnacie, szereg zbrodni na żywym ciele sztuki, — albo wreszcie zignorować was zupełnie, jako ludzi, nie mających już nic wspólnego ze sztuką, a więc niezdolnych szkody jej przynieść.

I nie przychodzimy tutaj z arsenałem kanonów estetycznych, z fanfarami haseł, lub z szumną tytulaturą kierunków.

Powiemy kilka słów z duszy, bez ogródek.

Najwyższym niesmakiem przejęła nas wasza forma wystąpienia.

Szukacie nowości. Przeczyście wszelkiemu zamarcu i po tępiacie zakrzepłość formy.

To samo jest motorem pędu naszego ducha. *Sempre avanti!*

Każdy odruch wewnętrzny, każde nurtujące tajemnie poczynienie prze do życia, młodości, wiecznie nowej, wiecznie młodej. Każdy z nas z osobna pragnie siebie jako coś

nowego przynieść Sztuce i przez to dla siebie Sztukę zdobyć. Nowością jest każda, ta a nie inna, świeża jednostka, nowością jest w tem, co rzeczywiście w najtajniejszych zakątkach swojej duszy przynosi swojego, prawdziwie przeżytego, rzetelnie upragnionego i zdobytego. Nie pytamy o to, co ma być tą zdobyczą.

Nie wiemy, czy kiedy w dłoniach nie prysnie nam wydmuchana bańka, czy nasze zdobycze będą granitem, czy marą, złudnym majakiem.

Przeczuwamy niejedną wewnętrzną tragedję, ale się przed nią nie cofamy. My pragniemy, by chwila, by sposób zdobywania był rzetelny.

A zdobywa się majątek wewnętrzny dla poezji przez umiłowanie gorące, do dna duszy, Piękna, umiłowanie Prawdy wewnętrznej i niezaślepienie umiłowanie swojej drogi.

A zatem obcem nam jest wszelkie przystosowywanie się do jakichś haseł i programów.

Każdy posiada hasło swoje i wypatruje w gąszczu, kędy kryje się ścieżka, droga, która jest niepodzielnie jego.

Tylko rzetelność umiłowania jest wspólną zasadą, umiłowania, które powiada, że żywiłem, co życie i światło nam daje jest jedyna i wybrana — Sztuka. — Otóż to umiłowanie nasze, nasz pęd do nieustającego naszego Futuryzmu — musi wyrazić swój protest przeciwko waszej zakrzepłości. Pomijamy już to, co oburzać nas może, jako dowód zaniku zmysłu estetycznego i poczucia piękna — i powagi sztuki — w pewnych jaskrawościach waszych.

Uważamy to jako chwilowy wybryk, który zresztą możecie tłumaczyć gorliwym wypełnianiem waszego problematycznego nowatorstwa i „wprowadzaniem w życie“ pewnych haseł.

— Ale właśnie jako spragnieni nowości i jako gorąco przejęci i radośni życiem i ruchem w tym kierunku, jaki dziś w polskiej sztuce widzimy — zwracamy się przeciwko waszej, powtarzam — zakrzepłości w tem, co już się stało.

Wstrzymywaniem rozwoju sztuki jest powtarzanie w mniej, lub więcej nieudatnych naśladownictwach tego, co potworzyli już wybitni artyści.

Droga ta — już jest wybita, wyrąbana przez innych, — już ona przez to nie wasza i nie nasza.

Zarówno tych, którzy naśladowają poetów romantyków, pozytywistów, modernistów, jak i tych co naśladowają dzisiejszych expressionistów i futurystów — i nie wychodzą poza naśladownictwo — będziemy najostrożniej potępiać — właśnie w imieniu postępu sztuki, w imię naszego nieustającego Futuryzmu!

Widzimy i u was pęd do nowości, do życia.

Widzimy u was pewną śmiałość. —

— I to, co u was pędem jest i śmiałością — cenimy, gdzie zaś staje się to fałszem, chorą i wyblakłą manierą, naśladownictwem bezkrytycznym i cyrkową reklamą — potępiamy. —

— I tu, dziś, dziękujemy wam za to, że pokazaliście nam, jak iść *nie należy*, że sprawiliście chwilę zamyślenia głębokiego nad kierunkiem dusz naszych i nad prawdziwością naszej drogi.

Nieświadomie — byliście impulsem.

Z całą tedy życzliwością dla was wypowiadamy to, co widzimy błędnego w drodze waszej.

Na drodze naśladownictwa i maniery nie może być postępu — i w imię jego ostrzegamy was, bo już na to szkoda energii.

Wszelkie użyte raz hasła — tracą swą wartość, gdy odgrzane. Nazwy, tytuły i kierunki są plewami, co okrywają ziarno indywidualności twórczej.

Służą one tylko do orientacji i do excytacji — gdy się jednak na nich wszystko kończy, to próżni żadnym usiłowaniem nie zakryje.

Dzisiaj trzeba nam zatapiać wzrok coraz usilniej, coraz pracowiej i coraz rzetelniej we własne najgłębsze i najbardziej jeszcze nieświadomione pokłady duszy, — musimy wyteżać wzrok i słuch, czy coś nowego ku nam stamtąd nie idzie. —

Dzisiaj panuje futuryzm i inne pokrewne prądy — my pytajmy: co będzie jutro!?

Bo i ten król zacznie się starzeć; szukajmy, szukajmy następcy!

Wasze „poezowieczory“ — to właśnie starzenie się futuryzmu, przedwczesne! —

A *my* szukamy za ciąglem życiem, — i dlatego, skupiamy się w wewnętrznej pracy, by kształcić siły do — szukania.. —

Wy powiadacie: „znaleźliśmy“ — i kłamiecie sobie i innym, że dało to wam swobodę i wolność.

— Naszem życiem jest szukanie za życiem, młodem i pełnem — i idziemy świadomi wiecznego nieukoju i wiecznej tęsknoty, ale pewni, że przez to — będziemy wiecznie i ść. —

CZĘŚĆ IV.
TŁOMACZENIA.

PIERRE REVERDY.

NIEBO GWIAZDZISTE.

Drzewo — słup w niebo wytrysły
 Korowód mar
 Na świecie gromnice rozbłysły
 Lecz jest to hen daleko
 Kroków szelesty po nocy się wleką.

Mur się odkrywa z mgły
 Kreśli się wielka plama cienia
 Ziemia się chyli do strumienia

słysząc
 Po głazach cieką łzy
 W bezkresie uwisa promień biały
 Cienie nocne się zakołysały.

Coś do wody wpada
 Kaskada
 gwiazd.

PIERRE REVERDY.

CIEŃ MURU.

Oko wylupione piórem
 Łza, co z księżycy spada
 Jezioro
 Świat napowrót do worka się wkłada
 Noc
 Cyprysy znowu chwieją się
 Widne na tle
 białej drogi
 Krajobraz jest błękitny
 Palce drgają
 Dwa wielkie kwadraty, co do się przystają
 Tańcowania
 W pośrodku głupców gromada
 nie patrzy na nich nikt
 Jakieś wołania
 wzdłuż drogi
 Deszcz pada.

PIERRE REVERDY

SPOKÓJ WEWNĘTRZNY.

Zima
 Ucichło wszystko
 Lampa rozbłyska
 Za oknem

Dłonie tańczą jakieś po dywanie
 Twój cień kołysze się na ścianie
 Mówią cicho

W ogrodzie obumarłe drzewa

Rozelśniewa
 ogień
 I ktoś zasypia

Przy murze światła
 Liść włóczy się drogą

Noc — strój nowy
 Na dworze już niema nikogo

...

WALT WHITMAN.

POJEDNANIE.

Słowo nad słowa, piękne jak niebios!
Pięknie, że wojna i jej rzezie wreszcie musiały
zniknąć zupełnie,
Że dłonie obu sióstr: Śmierci i Nocy tajemnie
czyszczą tą splugawioną ziemię!
— Bowiem nieprzyjaciel mój nie żyje!
Spoglądam, gdzie on blady i cichy spoczywa
w trumnie — przystępuję bliżej,
Nachylam się i wargami moimi dotykam
delikatnie białego oblicza w trumnie.

WALT WHITMAN.

SZEPTY NIEBIAŃSKIEJ ŚMIERCI.

Słyszę jak szemrzą Śmierci niebiańskiej poszepty,
 Nocna mowa rozchylanych warg, chorały szumów.
 Kroki wstępujące lekko, mistyczny wiatru dech,
 — zawiewa łagodnie i głębinowo,
 Falowanie niewidzialnych wód, miarowość wezbranej,
 wiecznie wezbranej rzeki,

(A może jest to szelest łez? Może to niezmierzone
 wody łez człowieczych?)

Widzę, właśnie widzę na niebie chmur
 wielkie kłębowiska
 Przetaczają się żałobnie, pomału, w milczeniu
 rosną i rozpływają się między sobą,
 Półmglista, posępna, hen, hen, daleka gwiazda,
 ukazująca się co jakiś czas i znikająca.

(Jedno urodzenie więcej, uroczyste nieśmiertelne
 Narodziny
 Na pograniczach nieprzenikalnych dla oczu,
 Przechodzi Dusza.)

Kraków, 11. V. 1920.

WALT WHITMAN.

ŚPIEW O ULICY OTWARTEJ.

1.

Pieszko, ze sercem lekkim w otwartą ruszam ulicę,
Zdrowy jestem i wolny, świat — przedemną
Przedemną długa, ciemna ścież, co wiedzie, kędy chcę!

— Nie żądam już więcej szczęścia, ja jestem sam Szczęście,
Nie jęczę już, nie marudzę, nie trzeba mi już niczego!
Precz ze skowyczeniem izb, z bibliotekami,
z opaczno-ciasnem krytykowaniem
Mocarny i ochotny otwartą drogą kroczę!

— Ziemia — to starczy!
Poco mi gwiazd bliżej?!
Wiem, są gdzieś tam sobie, w nader znakomitem miejscu,
Wiem, są w sam raz dla tych, co do nich przynależą.

(Jeszcze tu włokę moje stare, kosztowne ciężary,
Niosę je, mężowie i niewiasty, niosę wszędzie, gdzie idę,
Przysięgam wam, niepotrafię odrzucić ich precz,
Napełnion niemi jestem po brzeg, i przeto ja chcę sobą je
[zapełnić.]

2.

Ulico ty, którą zdążam rozglądając się w koło,
nie jesteś zaiste wszystkim, co tu jest.
Sądzę, że sporo jest tu Niewidzianego.

Głęboka nauka Przyjmowania, bez pierwszeństw
i bez odprawy!

Nie odgania się złąd ani murzyna z wełnistymi kudłami,
ani zbrodniarza, ani chorego, ani prostaczka,

Urodziny, ktoś goni po lekarza, dreptanie żebraka,
pijak zataczający się, roześmiana ciżba rzemieślników,

Zdradzony młodzian, karetą bogacza, gap,
uciekająca para,

Ktoś jedzie o świcie na targ, karawan, sprowadzanie mebli
do miasta, wracanie z miasta,

Przechodzą, mijają, ja przechodzę, mijam,

wszystko przechodzi i mija — wolno każdemu,

Niemasz — coby niegodne przyjęcia, niemasz

— coby przykrem było!

3.

Powietrze, co mi dajesz dech, że mogę mówić

Wy, przedmioty wszystkie, co z rozpróśnienia me myśli
wołacie i użyczacie im kształtów

Światłości, otulająca mnie i wszystko pieszczonym,
równomiernym dreszczem,

Chodniki wy boczne, udeptane, skręcone rozmaicie:

Wiem — skrywacie niewidziane życie, kocham was!

Brukowane ulice miast! Głazy nadbrzeżne!

Promy! Dyle i wierzeje doków! Ściany drewniane!

Statki dalekie!

Rzędy domów! Oknami zdziurawione fasady! Dachy!

Przysionki i wchody! Gzymsy i przęsła żelazne!

Okna! których szyb przeźroczyść do wnętrz tyle,
tyle wnosi!

Bramy, schody, arkady!

Kamyki szare z chodnika, co się nie kończy!

Wy ludne krzyżowiska ulic!

Wiem — posiadłyście po części wszystkiego, co przechodząc
o was się otarło i teraz pragniecie i mnie tego tajemnie
udzielić,

Żywymi i umarłymi zaludniłyście waszą bezczułą powierzchnię,
a duchy onych, ukazać mi się chcą i ze mną chcą się
przyjaźnić!

4.

Ziemia, hen, na prawo i hen, na lewo,
Barwisty, życiem nasycony obraz, każda cząstka oświetlona
najwłaściwiej,

Muzyka, co gra, gdzie trzeba, milknie, gdzie zbyt cicha,
Pogodny głos publicznej drogi, wesołe, świeże uczucie
ulicy!

Czyliż ty mi prawisz, trakcie wędrowań moich:

Nie opuść mnie?

Czy prawisz: nie waż się na to — gdy mnie opuścisz...
zginąłeś?

Czy też prawisz: jam już zdawna, przed tobą przysposobiony,
uczęszczany już wielokroć i uznany, zatrzymaj się?

— Odpowiadam: drogo pospólna, opuszczając Ciebie się nie
lękam, ale Kocham Cię!

Wypowiadasz mnie lepiej, niż sam się zdolę wysławić,

Ponad pieśń moją — Ty będziesz!

Wiem — wśród przestrzenności pól pomyślano wszystkie
bohaterskie czyny, a także wszystkie poematy wolne,

Wiem — mógłbym tu stanąć i cuda działać,

Wiem — cokolwiekbądź na drodze mi się zjawi

— pokocham, ktokolwiekbądź na mnie spojrzę

— pokocha mnie!

Wiem — każdy, kogo widzę musi być szczęśliwym!

5.

Od godziny tej wolnym się głoszę od wszelkich zakresów
i urojonych granic!

Idę gdzie zechcę i sam jestem panem siebie, nawskróś
i do ostatka,

Przysłuchuję się innym, uważam bacznie, co mówią

Zatrzymuję się, śledzę, spostrzegam, rozważam,

Łagodny, — wszakże niepowstrzymaną Wolą targam więzy,
co chcą niewolić.

Potężnymi wdechami przestrzeń chłonę!

Wschód i zachód moje, północ i południe moje!

Większy i lepszy jestem niż myślałem!

Nie znałem, że zawierał tyle Dobra!

Dla mnie wszystko pięknem!
 Mogę powtórzyć mężom i niewiastom: uczyniliście mi tyle
 dobrego — pragnę wam równem odplacić!
 Chcę Idąc troszczyć się o was i o siebie,
 Chcę Idąc rozsiewać siebie między męża i niewiasty,
 Chcę nową w nich cisnąć radość i nową prostotę!
 Gdy mnie odrzuci kto — nie zmartwię się,
 Gdy mnie kto przyjmie — niech on, czy oni błogosławieni
 będą i niechaj błogosławią mnie!

6.

Gdyby się teraz zjawilo mężów doskonałych tysiąc
 — nie będzie to mnie niespodzianką!
 Gdyby się teraz zjawilo tysiąc niewiast urodziwych
 — nie zdziwi mnie to!
 Teraz poznaję tajemnicę stawania się ludzi najlepszych:
 Na wolnem wyrastają powietrzu, a razem ze ziemią
 pożywają i śpią!

Tu oto pole dla wielkiego, osobistego Czynu!
 (Czyn taki — całej ludzkości serca porywa,
 Jego wybuchowa Moc i Wola kruszy dogmaty, sztydzi
 z autorytetów i argumentów wszelkich.)
 Tu oto probierz Mądrości!
 Nie w szkołach doświadczą się Jej ostatecznie!
 Mądrość nie może przechodzić z posiadającego ją,
 na innego, co jej niema.
 Mądrość z duszy pochodzi, świadectwom nieprzystępna,
 sama własnem świadectwem,
 Powołuje się na wszystkie stany i rzeczy i własności,
 a sama sobie starczy,
 Jest pewnością rzeczywistości i nieśmiertelności rzeczy
 i doskonałości rzeczy.
 W potopie zjawień rzeczy jest coś, co Ona z duszy
 wywołuje!

Egzaminuję filozofów i religię raz jeszcze,
 Zaiste, potrafią okazać się dobrze we wykładowych salach,
 lecz całkiem, ale to całkiem nie pod chmur szerokim
 sklepieniem, na tle fal rzecznych i krajobrazów.

Tu oto urzeczywistnienie!

Tu człowiek odpowiada sobie — pokazuje, co w sobie posiada.

Przeszłość, przyszłość, wzniosłość, miłość — jeśli im nie dostaje ciebie, to właśnie tobie ich brak!

Pożywnem jest tylko jądro każdej rzeczy!

Gdzie jest ten, co dla ciebie i dla mnie łupiny strzaska?

Gdzie jest ten, co dla ciebie i dla mnie unieszkodliwi wojenne pastki i podstępny?

Tu oto Przychylność! Nie przygotowywana zdawna,
— przypadkowa,

Czy wiesz, co znaczy przechodząc być kochanym przez obcych?

Czy znasz mowę każdej, ku tobie zwróconej żrenicy?

7.

Tu oto wezbranie duszy!

Wezbranie duszy przychodzi z wnętrza, poprzez sklepienie dźwirza przychodzi i wiecznie wyrzuca zapytania.

— Dlaczego owe tęsknoty?

— Dlaczego owe myśli w ciemnościach?

— Dlaczego są tacy mężowie i takie niewiasty, w których bliży krew mi wzbiera od żaru słonecznego?

— Dlaczego, gdy opuszczą mnie — opadają pororce mej radości równo i obwiśle?

— Dlaczego istnieją drzewa, pod którymi, ilekroć przechadzam się zalewają mnie zawsze myśli wielkie i melodyjne?

(Wiem, one wiszą zimą i latem na tych drzewach, a zawsze gdy przechodzę — owoc pada.)

Co to ja wymieniam tak szybko z obcymi?

— Co z dorożkarzem, gdy obok siedzę na koźle?

— Co z rybakim, który ciągnie swe liny na brzeg a ja przechodzę i zatrzymuję się?

Skąd pochodzi to, że otwieram siebie dla przychylności jakiejś niewiasty lub męża?

Skąd pochodzi to, że oni otwierają siebie dla mojej?

8.

Wezbranie duszy szczęśliwością jest, tu jest Szczęśliwość!
Wiem, przepływa wolnem powietrzem, wiecznotrwałe,
A teraz spływa na nas — pełni jesteśmy szczęśliwości!

Tu staje się owa płynna i wszechłgająca mocność.
Płynąca i wszechłgająca mocność świeżością jest
i słodyczą męża i niewiasty.

(Kwiaty porankowe nie wyciągają co dnia nic Świeższego
i Słodszego ze swych korzeni, jak to, co bezustannie
z nich pąkowień tryska).

Dla płynnej i wszechłgającej mocności spływa miłosny pot
z młodych i starych,

Czysty opada z niej czar, co szydzi z piękności
i osiągalności wszelkiej,

Do niej płacze przejmujący, tęskny ból po dotknięciu!

9.

Allons! Ktokolwiek bądź jesteś pójdz wędrować ze mną!
Wędrując ze mną znajdziesz to, co nie nuży nigdy!

Nigdy nie nuży Ziemia!

Ziemia conajwyżej grudzista jest, milcząca i niezrozumiała,
— Natura conajwyżej nieokrzesa i niepojęta.

Nie zrażaj się tem, wytrwaj, tam Rzeczy boskie są
poskrywane skrzętnie.

Przysięgam ci: boskie tam Rzeczy są, piękniejsze
niż język wysłowi!

Allons! zatrzymywać się nam tu nie wolno!

Jakże precenne te nagromadzone dobra, jakże tu
zamieszkać znakomicie — pozostać tu nie możemy!

Jakież osłonięty port, jakież spokojne wody: nie śmiemy tu
zarzucać kotwic!

Jakże życzliwa gościna przyjacielska wokoło: na małą tylko
chwilę wolno nam ją przyjąć!

10.

Allons! Mocniejszemi być muszą próbowania!

Na bezdrożne i dzikie chcemy płynąć morza,

Iść chcemy kędy wichry huczą i bryzgają fale, gdzie jachty
amerykańskie gnają z rozwiniętymi żaglami!

Allons! z Mocą, z Wolnością, z Ziemią, z żywiołami,
zdrowiem, zuchwalstwem, radosnością, ciekawością,
dumą!

Allons! z formułami precz!

Precz z waszemi formułami nietoperzowate, materialistyczne
mnichy!

Zwłoki tarasuję drogę — zwłoki uleżałe już, — nic nie
odwlecze pogrzebu!

Allons! Pozwól jednak, ostrzegę cię:

Kto ze mną idzie mieć musi najlepszą krew,
najtęższe ścięgna, największą wytrwałość!

Niechaj nie kusi się ów, czy owa, jeśli odwagi i zdrowia
nie może zabrać ze sobą!

Nie idź tu, jeżeli Twoje Najlepsze już wypotrzebowałeś!
Tym jedynie wzbronionem nie jest, co niosą ciała piękne
i tęgie,

Nie dopuszcza się tu połamańców, wódkochlaczy, plugawców
wenerycznych!

(Ja i Moi nie przekonywujemy dowodami, porównaniami,
rymami, —

Przekonujemy naszą obecnością.)

11.

Zważ!

Chcę z Tobą być rzetelnym!

Nie stawiam starych, gładkich cen — nowe nakładam ceny,
szorstkie!

Oto dni, jakie masz przeżyć:

— Nie będziesz gromadził tego, co bogactwami zowią,
Roztrwoną dłonią rozrzucisz wszystko, co zasłużysz,
albo zdobędziesz,

Zaledwie przyjdiesz do przeznaczonego ci miasta,
zaledwie dla ukojenia osiędziesz we własnym domostwie,
a już odwoła cię zew nieodparty.

Ironicznym śmiechem, drwinami potraktują cię owi,
 co pozostają w tyle,
 Odpowiedzią Twoją na każdy znak miłosny będzie li tylko
 bolesne żegnania pocałowanie!
 Niechaj cię nie wstrzymują ci, co rozpozarte ramiona
 prężą ku tobie!

12.

Allons! za wielkimi towarzyszami, należeć chcemy
 do Nich!
 I oni w drodze są — męże żwawe i dostojne —
 niewiasty, co najroślejsze!
 Karmią się ciszą i burzami mórz,
 Żeglują na pierwszym lepszym okręcie, lądami wiele mil
 wędrują,
 Przywykli do wszelakich oddalonych krain,
 do leży zamorskich przywykli,
 Ufa ją mężom i niewiastom — samotność jest im
 samoudręką,
 Zatrzymują się, by oglądać krzewy, kwiaty, muszle
 nadbrzeżne,
 Tańczą po weseliskach, obcałowywują oblubienice,
 zabiegają tkliwie koło dzieci, matkami się stają,
 Są wojownikami rokoszów, nad rozwartemi grobami stoją,
 spuszcza ją trumny w dół,
 Idą poprzez następstwo pór, poprzez lata, cudowne lata,
 każde rozkwitające z onego, co w dal przeszło,
 Idą ze swemi własnymi, różnorodnymi fazami życia
 — jak z towarzyszami drogi,
 Kroczą hen, od niewyjaśnionych, niezużytych dni dzieciństwa,
 Z młodością własną idą radośnie, idą ze swym brodatym
 i pełnym blizn wiekiem męskim...
 Idą ze swoją kobiecością, wielką, nieprzewyższoną,
 spokojną,
 Idą ze swą dostojną sędziwością męża, albo niewiasty.
 Sędziwość, pełna wczasu, rozmarszczona, śmiałą szerokością
 wszechświata szeroka
 Sędziwość, płynąca swobodnie z przecennym, sąsiedzkim
 przywilejem Śmierci. —

Allons! ku temu, co jest bez kresu, jak bez początku było!
 By dokonać wiele, — pochody dnia, spoczynki nocy,
 By zamieścić w swem wędrowaniu wszystko... i dokąd
 wszystko zmierza, dokąd zmierzają dnie i noce,
 I by to znów zakląć w przedsięwzięcie potężniejszych
 wędrowań!

By jeno patrzeć w to, co dostać i przewyższyć umiesz,
 By znać ten jeno choćby najodleglejszy kres, który osiągnąć
 i przekroczyć umiesz,

By tą jedynie w górę, czy w dół wiodącą drogę dostrzegać,
 — co rozprzestrzenia się dla ciebie, co czeka na cię...

By patrzeć na te jeno Boże, czy inne twory,
 których ty dosięgnąłeś

By patrzeć jeno na takie mienie, jakie i ty posiadasz,
 pożywając wszystko bez pracy i kupna,
 — ucztę, nie okruchy!

By brać co najlepsze — i z zagrody farmera i z wytwornej
 willi bogacza i ze wstydlivej rozkoszy prawowitej pary
 i z plonu sadów i z ogrodowego kwiecia,

By z tłumnych miast, które mijasz w wędrowce
 — brać co potrzebujesz,

By potem, gdziekolwiek pójdziesz, nieść ze sobą
 budynki i ulice,

By z mózgów spotykanych ludzi wyjmować duchy ich
 i zbierać, — by zbierać miłość z ich serc,

By kochanych brać ze sobą w drogę, choćbyś ich
 nawet sporo wyprzedzał,

By poznać, że Wszechświat to droga, to mnogość dróg,
 to szlaki duchów-wędrowników.

Wobec postępu dusz niknie wszystko,

Wszelkie religie, wszystko, co utrwalone, wszelkie sztuki,
 władztwa — wszystko, co pojawiało się, lub jest na
 gwieździe tej, czy na światach innych —

— zmyka do kryjówek i kątów przed uroczystym dusz
 pochodem przez niezmierzone gościńce Wszechświata,

Wszelki inny postę — to potrzebny symbol i środek
 pomocniczy do postępu mężów i niewiast poprzez
 niezmierzone gościńce Wszechświata,

Wiecznie żyjąco, wiecznie naprzód!
 Pysznie, świątecznie, posepnie, samotnie, złudnie, szalenie,
 gwałtownie, słabo, niezaspokojenie,
 Zrezygnowanie, dumnie, tkliwie, chorobliwie,
 przyjmowani przez ludzi, odrzucani przez ludzi,
 Wędrują! wędrują! Wiem, że wędrują,
 lecz nie wiem dokąd? —
 Ale wiem, że idą ku Najlepszemu, ku czemuś Wielkiemu!

Ktokolwiek jesteś — wychodź!
 Czy mąż, czy niewiasta — wychodź!
 Nie śmiesz, śpiący i czas trwoniący — pozostawać w domu,
 choćbyś go nawet budował, lub choćby już był dla
 cię zbudowany!

Wychodź z ciemnej cieśni, z za osłony!
 Daremnie się puszysz — wiem wszystko
 i wszystko stawiam jasno!
 Patrzę w ciebie — jesteś tak samo zły, jak inni
 Poprzez śmiech, taniec, obiady i kolacje ludzi,
 Poza strojami i ozdobami, poza pomytami
 i wypielęgnowanemi obliczami
 Widzę tajemną, cichą przeciw-wolę i zwątpienie.

Nie mężowi, ni żonie, ni przyjacielowi czyni się
 tajemne wyznanie:
 — Drugie Ja, odpowiednik pierwszego — czai się ukryte,
 Bezpostaciowo i bezsłownie po ulicach miast,
 uprzejmie i uprzedzająco grzecznie w salonach przyjęć,
 W wagonach kolejowych, na parowcach, na zgromadzeniu
 publicznem,
 Zadomowione jest w mieszkaniach mężów i niewiast,
 przy stole, w sypialni, wszędzie
 Dostojnie przybrane, z obliczem uśmiechniętem, wyprostowane,
 śmierć pod klatką piersiową, piekło pod czaszką,
 Pod smokiem i rękawiczkami, pod wstążkami
 i sztucznymi kwiatami,
 Układnie przestrzega form dobrego zachowania się
 i nie mówi ani sylaby o sobie,
 O wszystkich innych mówi, tylko nie o sobie.

14.

Allons! przez boje i wojny!

Nie można odwoływać ustanowionego celu!

Czy minione walki były pomyślne?

I któż otrzymał wynik? Ty? Twój naród? Przyroda?

Teraz się dobrze rozumiem: w istocie rzeczy przewidziano,
że z plonu każdego powodzenia — (obojętne jaki jest
ten plon) — wypływa coś, co przymusza do jeszcze
większego boju!

Mój zew -- to zew do boju, żywię czynny bunt!

Kto idzie ze mną — musi iść tego uzbrojony

Kto idzie ze mną — spotyka często głód, nędzę,
wrogów okrutnych, zbiegostwo. —

15.

Allons! ulica przed nami!

Pewna to droga, — próbowałem jej, me własne stopy jej
próbowały, — nie daj się powstrzymać!

Zostaw niezapisany papier na pulpicie i nierozciętą książkę
na półce!

Zostaw narzędzia w warsztacie!

Zostaw niezarobione dolary!

Zostaw szkołę! Nie zważaj na zwolnywanie nauczyciela!

Zostaw kaznodzieję, niech prawi ze swej ambony!

Zostaw — niech adwokat głądzi sobie przed sądem
i prawo sędziom tłómaczy!

...

Camerado! mą dłoń ci podaję!

Daję ci moją miłość, cenniejszą od złota!

A raczej daję ci samego siebie
jako kazanie, albo jako prawo!

Czy chcesz mi siebie dać?

Czy chcesz pójść ze mną?

Czyli będziemy razem póki żywota?

Kraków w maju 1920.



SPIS RZECZY.

Życiorys autora, napisany przez prof. Un. Jag. Ign. Chrzanowskiego Str.
5

CZĘŚĆ I. UTWORY POETYCKIE :

Los mnie żenie	11
Na życia toni	12
Dumania pancerne	13
Owinął mnie	15
Wróć	16
Ach skrzydła podnieść	17
Halny wicher	18
Zółte, jesienne	19
Odmętna, czarna toń	20
Czyli ja bard	21
Echo	22
Oktawy	25
Zagadki Arlekina	27
Mroki	29
Wiosna	32
Exposée	35
Tłum	37
Przed kurantem	39
Etuda rewolucyjna (Op. 10. 12)	41
Pijana pieśń	46
Kosmogonia	49
Rozmowa z obrazem (dyalog)	51
Przecucie	54
Wnętrze	55
Bohater	57
Wiatr za oknem	59
Basileus (dyalog)	61
Naród	64
Tej niewygranej	68
O myśl me	69
Bajka	70

	Str.
Pociąg	72
Którędy ?	73
Ćmy	74
Chwytałem myśli moje	76
Odi profanum	77
Chaty w nocy	79
Przychodzę nad jezioro	81
Pyłki (Z cyklu „Marinettinady“)	83
Nalepiacze plakatów (Synteza teatralna. Z cyklu „Marinettinady“)	85
Epilog Prosperowej historii (Szekspir „Burza“)	87
Ucieczka	88
Samotność	91
Mgła	94
Srebrna aleja	96
Gdzieś, jakoś, kędyś	99
Przed burzą	101
Cienie (Z „Dyalogów“)	104
Ludzie obcy	107
Wiatraki (Opowieść)	108

CZĘŚĆ II. FRAGMENTY DRAMATU:

Prologus	115
Dramat	128

CZĘŚĆ III. PRZEMÓWIENIA SYMPOSIONOWE:

Przemówienie wstępne na Symposionie I.	165
Przemówienie wstępne na Symposionie II.	170
Przemówienie wstępne na Symposionie III.	176
Przemówienie w Akad. Kole Artystyczno-literackim	185

CZĘŚĆ IV. TŁOMACZENIA:

Pierre Reverdy: Niebo gwiazdziste	191
„ „ Cień muru	192
„ „ Spokój wewnętrzny	193
Walt Whitman: Pojednanie	194
„ „ Szepty niebiańskiej śmierci	195
„ „ Śpiew o ulicy otwartej	196

DRUKARNIA
ZWIĄZKOWA
W KRAKOWIE,
MIKOŁAJSKA 13
POD ZARZĄD.
JÓZ. DZIUBA-
NOWSKIEGO.

Wojewódzka Biblioteka
Publiczna w Opolu

CM 316719



000-316719-00-0